Cena zł 5.–

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

BOHATEROWIE
OPERACJE
KULISY

- Dramatyczne wydarzenia największych zmagań wojennych w historii
- Przełomowe, nieznane momenty walk
- Czujnie strzeżone tajemnice pól bitewnych, dyplomatycznych gabinetów, głównych sztabów i central wywiadu

ukazuje

CYKL WYDAWNICZY

w którego skład wchodzi niniejszy tomik





ZAPAMIĘTAJCIE TEN ZNAK

5/70



W kuźni diabła

Gustaw Jarl

W KUŹNI DIABŁA

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Okładkę projektował
MIECZYSŁAW WIŚNIEWSKI

Redaktor
HALINA ZYSKOWSKA

Redaktor techniczny
JOLANTA MICHAŁOWSKA

Korektor
LEONARDA KRÓLIKOWSKA

Cztery tysiące pięćset osiemdziesiąta piąta publikacja Wydawnictwa MON

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1970 r. Wydanie II

Nakład 120 000+280 egz. Objętość: 5,84 ark. wyd., 4,75 ark. druk. Papier druk. sat. VII kl. 65 g z roli 62 cm z Myszkowskich Zakładów Papierniczych. Oddano do składania we wrześniu 1969 r. Druk ukończono w lutym 1970 r. Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie. Zam. nr 1094 z dnia 24.IX.69 r.
Cena zł 5.— P-89.

I. OPOZYCJA DZIAŁA

Na zewnętrznej stronie okładki widniał jedynie znak serii i kolejny numer, dopiero po otwarciu teczki pojawiły się bliższe dane o człowieku, stanowiącym aktualny obiekt zainteresowania. Kolejne strony, uzupełniane załącznikami, przedstawiały resztę, to znaczy niemal wszystko, co mogło tego człowieka dotyczyć.

Dzięki jednej z wielu tysięcy teczek posegregowanych pedantycznie w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy szef tego urzędu, gruppenführer SS Reinhardt Heydrich, mógł odtworzyć z względnie dużą dokładnością i bez specjalnego trudu postać Maksymiliana de Crinisa, obywatela Rzeszy Niemieckiej, doktora medycyny i profesora uniwersytetu, poza tym oficera. Choć Heydrich znał de Crinisa osobiście, w trakcie lektury miał okazję przekonać się raz jeszcze, jak wiele kryje się poza spokojnym pozornie i uregulowanym trybem życia jednego z przedstawicieli berlińskiej socjety.

Heydrich nie bez uznania ocenił gorliwość swych podwładnych: ostatnim z dokumentów była notatka o udziale de Crinisa w pewnym towarzyskim spotkaniu, sporządzona poprzedniego zaledwie dnia. Autor notatki podawał nawet nazwiska jego rozmówców, wśród których znalazło się dwóch generałów.

Heydrich zamyślił się, wpatrzony w regularne rządki maszynowego pisma. Nie znalazł tego, czego szukał, lecz wyostrzona intuicja nie pozwalała przejść nad sprawą obojętnie.

Pomysł wciągnięcia nowego człowieka do rokującej nadzieję gry należało dokładnie rozważyć, tym bardziej że stawka w tej grze wzrosła bardzo w ostatnim czasie. Co prawda Heydrich był zawsze zdania, że wszelkie tajne przedsięwzięcia mają tym większe szanse, im mniej osób bierze w nich udział, wszelako Schellenberg przemawiał za de Crinisem z tak szczerym zapałem, że Heydrich w końcu ustąpił. Sytuacja wymagała zresztą udziału nowego człowieka. Przezorność kazała mu jeszcze zapoznać się z aktami lekarza, które wydział gestapo dostarczył niemal że błyskawicznie. Wszystko wskazywało, że do nowego kandydata na współpracownika można mieć pełne zaufanie. Zresztą... ręczył za niego sam Schellenberg i gdyby de Crinis pozwolił sobie na jakiś wybryk, jego protektor — zdolny i wybijający się coraz bardziej podwładny Heydricha z nowo utworzonego VI wydziału RSHA* — zrobiłby najlepiej, gdyby natychmiast ulotnił się, gdzie pieprz rośnie. To, co mogło mu grozić ze strony troskliwego szefa, byłoby z pewnością gorsze od samobójczej śmierci. Heydrich nie miał żadnych skrupułów. Znali go pod tym względem aż nadto dobrze zarówno podwładni, jak i przełożeni.

Dotychczasowy przebieg akcji pozwalał liczyć

* RSHA — Reichssicherheitshauptamt — Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

na wyniki, o które Heydrichowi chodziło. Oczywiście, należało je wypracować, wykazując przy tym niemało sprytu, skoro się miało do czynienia z autentycznymi specami wywiadu angielskiego. Heydrich dążył do jednego celu: wiedzieć wszystko to, co wiedzieli oni. Musieli zaś z pewnością wiedzieć sporo, jeśli zdecydowali się na wyprawę; z samego faktu przedsięwzięcia tej wyprawy wynikało niedwuznacznie, że pragną odtworzyć jakieś istniejące w przeszłości kontakty.

Dotyczyły one zapewne generalicji niemieckiej, ściślej: kierowniczych kół wojsk lądowych.

O istniejących w tych kołach wahaniach wobec pewnych zamierzeń führera Heydrich był poinformowany tym lepiej, że sam uczestniczył od dawna w likwidowaniu wszelkiej opozycji generałów. Zmajstrowanie afery generała Fritscha, podobnie jak wywołanie skandalu wokół małżeństwa feldmarszałka Blomberga — to w decydującej mierze jego dzieło. Szef sztabu wojsk lądowych, generał Beck, ustąpił sam w okresie kryzysu czeskiego, i tylko to uratowało go przed skutkami przygotowywanej przez Heydricha kolejnej prowokacji.

Cel wszystkich tych przedsięwzięć był oczywisty, określał go zresztą niedwuznacznie sam führer: armia powinna być jak najbardziej sprawnym narzędziem narodowosocjalistycznej polityki, a ponieważ polityka ta ma stawać się coraz bardziej agresywna, armia musi być gotowa w każdej chwili do zdecydowanych działań. Zadanie takie mogli wykonać jedynie generałowie wolni od wszelkich uprzedzeń.

Wydawało się, że zarówno dokonany za zgodą Francji i Anglii zabór Czechosłowacji, jak i podbój Polski rozwieją ostatecznie istniejące uprzedzenia i obawy. Generalicja miała liczne już powody do zadowolenia i dumy. Okazało się jednakże, że część jej cierpi, mimo wszystko, na szczególnego rodzaju chorobę, którą w kołach partyjnych określano krótko mianem kompleksu Marny. Chodziło po prostu o przesadną ocenę militarnej siły Francji, zdolnej rzekomo nie tylko do skutecznego powstrzymania ewentualnej ofensywy, ale i do uderzenia mogącego zachwiać Niemcami, a nawet zgotować im kompromitującą klęskę.

Obawy te ubrał w obszerną wojskowo-teoretyczną motywację generał Heinrich von Stülpnagel, zastępca szefa sztabu generalnego wojsk lądowych. Jego studium operacyjne wojny na zachodzie, ukończone już 24 września 1939 roku, a więc jeszcze w czasie trwania wojny z Polską, prowadziło do jednego właściwie wniosku: armia nie jest przygotowana do wojny zaczepnej z Francją, w rachubę wchodzić może do pewnego czasu, konkretnie do roku 1942, jedynie obrona. Stülpnagel starał się szeroko uzasadniać ten wniosek, wiadomo jednak było, że kontynuuje on jedynie stare poglądy odsuniętego generała Becka.

Wiadomości o przygotowaniu Francji do wojny, które zdobył Heydrich, a którymi dysponowała z pewnością także Abwehra, kontrastowały jak najbardziej z poglądami Stülpnagla i jego współtowarzyszy. Mimo to dowódca wojsk lądowych, generał von Brauchitsch, dał dowódcy wojsk

Grupy Armii Zachód, generałowi von Leebowi, rozkaz przejścia do obrony i niewdawania się pod żadnym pozorem w działania zaczepne. Von Leeb nie mógłby zresztą takich działań w ogóle prowadzić, mając do dyspozycji wszystkiego raptem dwanaście bojowych dywizji. Ostatecznie więc, gdy Wehrmacht hulał w Polsce opuszczonej zupełnie przez jej zachodnich sojuszników, ogólne straty niemieckie na zachodzie w ciągu całego września wyniosły... około stu zabitych.

Działania na froncie niemiecko-francuskim były tak zastanawiające, że nazwano je „dziwną wojną". Nie było żadną tajemnicą, że Francuzi z każdym dniem tracą szanse, niewiele jednak ludzi mogło znać istotne podłoże takiego postępowania. Heydrich był jednym z tych nielicznych, którzy aż nadto dobrze orientowali się w sytuacji. Francja nie chciała wyjść poza stan „dziwnej wojny", podobnie nie chciała tego Anglia. I w Paryżu, i w Londynie oczekiwano, że ostateczne rozstrzygnięcia nastąpią, mimo stanu wojny, w drodze dyplomatycznej. Chciano tylko tego, aby Hitler wyciągnął pierwszy rękę i poszedł na ustępstwa, których rozmiary można było ustalić w trybie negocjacji. Heydrich czerpał swe wiadomości na ten temat niemal z pierwszej ręki: jego ludzie umieli znaleźć dostęp do tajnych dokumentów premiera Francji, a poszło im to z taką łatwością, że Heydrich zastanawiał się nieraz, czy nie pomogli im w tym sami Francuzi, których niechęć do wojny deklarowana była niemalże oficjalnie. Wnet po wybuchu wojny z Polską część oddziałów francuskich wkroczyła na nie-

wielkie przygraniczne tereny niemieckie pod Saarbrücken. Kiedy jednak, tuż po zakończeniu działań w Polsce, poczęto przesyłać transporty wojsk niemieckich na front zachodni, Francuzi opuścili te tereny bez walki, i to w sposób prawie demonstracyjny. Polowe umocnienia, jakie po sobie zostawili, świadczyły najwymowniej, że swego zadania nie traktowali absolutnie poważnie.

Przeciwnika, który dawał aż tak jaskrawe przykłady, jeśli już nie słabości, to braku chęci walki — nie wystarczyło jedynie lekceważyć. Trzeba go było zaatakować i doszczętnie zniszczyć, póki sprzyjała temu sytuacja. Odnosiło się zaś przy tym — co miało ogromne znaczenie — triumf nie nad przeciwnikiem słabym, jakim był w istocie, lecz nad najpotężniejszą lądową armią świata, bo taka właśnie opinia o armii francuskiej utrwaliła się powszechnie.

Decyzja führera, podana do wiadomości naczelnym dowódcom trzech rodzajów broni już 27 września 1939 roku, była więc jednoznaczna: uderzyć na Francję i zniszczyć ją. Słów Hitlera słuchało wtedy zaledwie kilka osób i każda z nich przeżywała w tym momencie co innego. Marszałek Goering, dowódca Luftwaffe, druga po Hitlerze osobistość w Rzeszy, zachowywał się spokojnie, ponieważ wywody führera znane mu były już od paru dni. Admirał Raeder, dowódca marynarki wojennej, uświadomił sobie możliwość starcia z flotą angielską i skrzywił się nieznacznie. Natomiast dowódca wojsk lądowych, generał von Brauchitsch, wyraźnie pobladł. Hitler zauważył to i podniósł głos:

— Nie zgadzam się z rozkazami przejścia do długotrwałej obrony. Zdecydowany jestem uderzyć jak najwcześniej, proszę to przyjąć do wiadomości i bezzwłocznie przystąpić do opracowania odpowiednich planów operacyjnych!

Na spotkaniu z Hitlerem miał być obecny również generał Jodl, szef zarządu dowodzenia Wehrmachtu, zastępca Keitla. Ponieważ jednak przebywał on jeszcze w Polsce, zastąpił go pułkownik Warlimont. Ten nie mógł opanować zdziwienia, ponieważ właśnie dwa dni wcześniej zapoznał się z memoriałem Stülpnagla, przedstawionym mu jako oficjalne stanowisko sztabu wojsk lądowych. Warlimont sądził początkowo, że führer wygłasza swe racje pod wpływem upojenia zwycięstwem nad Polską, ale przysłuchując się jego wywodom dostrzegł, że są one uporządkowane i nie stanowią nic innego, jak proste antytezy studium Stülpnagla. Warlimont oczekiwał teraz sprzeciwu Brauchitscha, ale generał nie odezwał się ani słowem.

Tak właśnie zaczął się ów konflikt, który szefowi Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, gruppenführerowi Heydrichowi, dawał szczególnie dużo do myślenia i w konsekwencji stwarzał wiele okazji do działania. Całe lata bezpośredniej współpracy z Himmlerem zdążyły wykształcić w nim tak wielką podejrzliwość, iż skłonny był sądzić, że pewna grupa generałów przeciwstawia się Hitlerowi w sposób zorganizowany. Himmler utwierdzał w nim to przekonanie i domagał się nawet dowodów istnienia opozycji, których wszakże, mimo sporych wysiłków, nie udało się zdobyć.

W miarę postępów w rozpracowywaniu środowiska skupionego wokół dowództwa wojsk lądowych Heydrich, a wraz z nim i Himmler, dochodzili — nie bez zdziwienia — coraz bardziej do wniosku, że generałowie, poza paroma doprawdy wyjątkami, są oddani całkowicie führerowi i partii, a zwycięstwo nad Polską oddanie to jeszcze bardziej wzmocniło. Jeśli część z nich miała zastrzeżenia do niektórych posunięć führera, to wynikały one istotnie z przesadnej oceny potencjału militarnego Francji na lądzie i Anglii na morzu, a poza tym również z wyznawania przestarzałych już doktryn militarnych.

Ale Heydrich tropił nadal, a czynił to tym gorliwiej, iż tak właśnie nakazywał czynić już nie tylko Himmler, ale sam Hitler. Troska o lojalność generałów pozostawała właściwie w kompetencjach kontrwywiadu wojskowego, ale do agend Canarisa trudno było mieć w tym przypadku zaufanie.

W wykryciu opozycyjnego nurtu wśród generałów, a tym bardziej w ujawnieniu zorganizowanego antyhitlerowskiego spisku, Heydrich był o tyle zainteresowany, że wzmocniłoby to ogromnie pozycję jego samego i Głównego Urzędu Bezpieczeństwa osłabiając jednocześnie pozycję Canarisa. W sytuacji kiedy Hitler okazywał względy Abwehrze i jej szefowi, odgrywało to szczególnie ważną rolę.

Penetrującym więc wszędzie agentom SD* i gestapo udawało się niekiedy spotkać z opiniami mało przychylnymi dla führera. Wygłaszał je czasami, co prawda w ścisłym gronie, choćby generał Kurt von Hammerstein, dowódca grupy operacyjnej na froncie zachodnim. Otoczono go szczególną „opieką", która w rezultacie przynieść miała niebawem dymisję generała. Stwierdzono też, że tacy generałowie, jak Stülpnagel, Thomas, Witzleben i Leeb, powątpiewają w wojskowe talenty führera i uważają go za militarnego dyletanta. Heydrich otrzymał właśnie wiadomość, że generał von Leeb, mianowany niedawno dowódcą Grupy Armii „C" na zachodnim froncie, przygotowuje memoriał mający uzasadnić, że uzyskanie decydującego zwycięstwa nad Francją jest niemożliwe.

Wyżsi dowódcy wojsk lądowych, wychowankowie wilhelmowskiej szkoły militarnej, mieli widać dobrze utrwalone w pamięci klęski doznane od Francuzów w czasie pierwszej wojny światowej. Strach przed niewiadomym nie pozwalał im też widzieć, że i we Francji, i w Niemczech, wiele się od tamtej pory zmieniło. Ogólnie jednak generalicja okazywała się pewniejsza politycznie, niżby to nawet można było przewidywać, młodsi zaś, z pewnością zdolni dowódcy, w ogóle parli do ofensywy z zasługującym na uznanie temperamentem.

Gruppenführer Heydrich myślał o tym z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony mógł odczuwać zadowolenie, że nawet starsi generałowie, z trudem przecież przyswajający sobie nauki narodowego socjalizmu, ostatecznie stają za Niemcami

* SD — Sicherheitsdienst — partyjna służba bezpieczeństwa, najwyższy organ szpiclowski w hitlerowskich Niemczech.

Hitlera. Ale, z drugiej strony, psuło mu to szyki. Coraz częściej też zastanawiał się, czy jeśli żadne tajne antyhitlerowskie sprzysiężenie generałów nie istnieje, nie należałoby go stworzyć. Realizacja tej idei byłaby wszakże dlań zbyt ryzykowna, gdyby dokonała się bez wiedzy Hitlera, Heydrich zaś nie chciał wysuwać swych sugestii. Inicjatywa w tym względzie mogła przynieść zarówno dobre, jak i złe skutki.

Z pomocą przyszedł mu przypadek.

Przed rozpoczęciem wojny wywiad zagraniczny prowadziła przez szereg lat niemal wyłącznie Abwehra. Ten monopol Himmler i Heydrich postanowili złamać i udało im się to w końcu z chwilą, gdy Główny Urząd Bezpieczeństwa SS stał się Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy. Rychło w tej nowej instytucji Heydrich zmontował wydział wywiadu zagranicznego, na którego czele stanął standartenführer Heinz Jost. Otóż właśnie Jostowi udało się — zapewne dzięki zbiegowi okoliczności, bo zbytnią inteligencją nigdy nie grzeszył — wykorzystać do nawiązania kontaktu z wywiadem angielskim pewnego Niemca zamieszkałego w Holandii i udającego uchodźcę politycznego. Anglicy nie byli bynajmniej łatwowierni, ale „uchodźca" zaimponował im po pewnym czasie nie byle jaką rewelacją: miał stały kontakt z grupą opozycyjną w Wehrmachcie, do której należeli także dowodzący generałowie. Na pokrycie swych twierdzeń przekazał wkrótce do Londynu pewne materiały.

Pomysł wykorzystania „uchodźcy", który w kartotece wydziału Josta nosił kryptonim F-479, jako współtowarzysza spiskujących rzekomo generałów niemieckich, należał do samego Heydricha. Szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy obiecywał sobie po nim wiele. Właśnie nie kto inny, a wywiad angielski mógł mu w końcu pomóc pośrednio w ujawnieniu jakiejkolwiek generalskiej frondy, jeśliby się ona narodziła. Gdyby zaś nie narodziła się jeszcze, a należałoby jej narodziny sprowokować, sam fakt, że Secret Service stara się utrzymywać kontakty z opozycją generałów, musiałby Hitlera nastawić negatywnie przynajmniej do niektórych z nich.

Oczekiwano teraz reakcji Anglików. Heydrich żywił pewne obawy o to, czy ryba da się złapać na wędkę, tym większe więc ogarnęło go zadowolenie, gdy agent z Holandii doniósł, że kontakt z Londynem nie tylko się nie zerwał, ale nawet wzmocnił. Gra rozpoczęła się i trwała całe miesiące. Człowiek Josta dostarczał Anglikom sporo „autentycznych" informacji, umiejętnie je dawkując i okraszając od czasu do czasu dokumentami pieczołowicie przygotowywanymi w sekcji technicznej RSHA. Secret Service przyjmowała to wszystko — jak się wydawało — z pełną ufnością. F-479 nie żądał nic w zamian za swą działalność, pracował na rzecz Anglii „ideowo", co musiało szczególnie zaimponować Anglikom, choć z pewnością jego rewelacje poddawali oni skrupulatnemu badaniu.

Dezinformowanie Anglików można było uważać za dużej miary osiągnięcie wywiadowcze, jednakże „ideowy uchodźca" nie mógł, bo chyba i nie umiał, osiągnąć tego, na co przede wszyst-

kim liczył Heydrich, a mianowicie zdobyć nazwisko choćby jednego oficera niemieckiego, na którego współpracę liczyli Anglicy. F-479 dawał im sugestie w różnej formie, ale nie uzyskiwał jakiegokolwiek potwierdzenia. Trzeba było więc uzbroić się w cierpliwość i używać go jedynie jako skrzynki pocztowej, do której wrzucało się fałszywe listy.

Wybuchła jednak wojna i Heydrich zarządził przerwę. Choć Holandia była krajem neutralnym, „uchodźca" powinien był teraz natrafić na jakieś trudności. Już same obostrzenia wywołane stanem wojny powinny były stać się przeszkodą w utrzymaniu normalnych powiązań z „grupą opozycyjną", zresztą większość członków „sprzysiężenia wojskowego" musiała siłą rzeczy znaleźć się teraz na polskim froncie. Wojna przeciw Polsce była dla niemieckiego oficera najzupełniej naturalnym obowiązkiem, niezależnie od jego sympatii czy antypatii do Hitlera. Agenci angielscy podzielali ten pogląd, jednakże ich niecierpliwość wzrastała coraz bardziej. Podobnie zachowywali się ich profesjonalni koledzy z wywiadu francuskiego, których F-479 zdołał również zachęcić do nawiązania współpracy z opozycją w niemieckiej armii, zdolną do usunięcia Hitlera, gdyby ten nie zechciał pójść na ugodę z Zachodem.

Wojna z Polską zakończyła się i presja na „antyhitlerowskiego emigranta" w Holandii wzmogła się jeszcze bardziej. F-479 począł się nawet wyraźnie denerwować. Jego zdaniem, dalsze milczenie „opozycji" poczynało stawiać go w dwuznacznej sytuacji.

Heydrich zastanawiał się właśnie nad dalszym postępowaniem, gdy standartenführer Jost przyniósł mu wiadomość o przybyciu do Holandii specjalnego przedstawiciela Secret Service, który postarał się o bezzwłoczną rozmowę z F-479. Według wszelkich danych, musiał to być nie kto inny, a kapitan Payne-Best. Jak na dotychczasowe kontakty F-479, była to persona nie lada, bowiem Best zajmował stanowisko szefa środkowoeuropejskiego sektora wywiadu angielskiego. Heydrich nie wierzył własnemu szczęściu. Wojaż Besta wskazywał, że tak chytrzy Anglicy uwierzyli we wszystko, co dla nich spreparowano. Przerwa w działalności F-479 okazała się zbawienna, sprawiła przecież, że wywiad brytyjski przekonał się do „uchodźcy". Sam fakt, że udało się aż tak dalece wyprowadzić w pole wywiad uważany za najdoskonalszy w świecie, wprawił Heydricha w nastrój entuzjazmu.

Oczekiwał teraz reakcji Hitlera i okazało się że przewidywania nie zawiodły go i w tym przypadku. Hitler, nie tając swego podziwu dla angielskiej służby wywiadowczej, orzekł, że skoro jej zainteresowanie opozycją w Wehrmachcie sięga stosunkowo wysokiego szczebla, wobec tego opozycja ta musi w jakiejś formie istnieć.

— Oczywiście, Anglicy o tym wiedzą, natomiast nasz kontrwywiad milczy. I to może mnie tylko smucić — zakończył.

— *Mein führer* — odezwał się Himmler, zerknąwszy uprzednio zza binokli ku Heydrichowi —

zwracałem wielokrotnie uwagę Canarisowi na te sprawy. Ostatecznie, jest to przede wszystkim rzecz Abwehry. Wygląda na paradoks, że my, przy naszych niewielkich możliwościach, musimy wyręczać kontrwywiad wojskowy. Gdybyśmy dysponowali takim aparatem jak oni...

Heydrich bez trudu przejął myśl Himmlera, ale zorientował się w tym i Hitler.

— Wojna nie pozwala na eksperymenty — przerwał Himmlerowi. — Nie mam zresztą nic przeciwko temu, abyście swój aparat wzmacniali. Nawet powinniście to robić.

Pozostawiwszy Himmlerowi nietrudne już zadanie podjudzania Hitlera przeciw generałom i Canarisowi, Heydrich zajął się czym prędzej wyborem człowieka, który wystąpiłby wobec Besta jako żywy dowód istnienia wojskowego spisku w Niemczech. Stawało się to koniecznością. F-479 roztoczył przed Anglikiem nakreślony nader barwnie obraz „sprzysiężenia", ale Best nie zdradził mu ani słówkiem, na kogo konkretnie liczy lub chce liczyć. Człowiekowi z Niemiec, autentycznemu uczestnikowi oficerskiego spisku, jakim miał być wysłannik Heydricha, mogło się to natomiast udać.

W tym przekonaniu Heydrich ujął kierownictwo akcji w swe ręce, odsunąwszy mało zręcznego Josta na boczny tor. Po dłuższych rozważaniach jego wybór padł na Waltera Schellenberga, ongiś prawnika, aktualnie obersturmbannführera SS i pracownika służby bezpieczeństwa, który dotąd parał się specjalnymi zadaniami, zlecanymi mu przez Himmlera i Heydricha. Schel-

lenberg reprezentował dużą inteligencję, wiedzę i obycie towarzyskie, obdarzony też był iście diabelskim sprytem. Himmler dawno już zwrócił uwagę, zwłaszcza na ten ostatni przymiot młodego, dochodzącego bowiem dopiero do trzydziestki człowieka. Uznawszy jego nadzwyczajną wprost przydatność do służby wywiadowczej, interesował się nim stale, co Heydrich przyjmował bez szczególnego entuzjazmu. Jak się przekonał, Schellenberg był istotnie prawdziwym talentem, a doświadczenie mówiło mu, że ludzie tego pokroju potrafili być dla przełożonych równie pożyteczni, co niebezpieczni.

Schellenberg powrócił właśnie z Düsseldorfu, gdzie zajmował się reorganizacją aparatu SD. Przeprowadził ją szybko i zręcznie. Tak samo szybko i zręcznie wziął się do realizacji zadania, które przedstawił mu teraz Heydrich. Gruppenführer śledził z uwagą i nie bez podziwu wszystkie jego poczynania, postarawszy się o to, aby wiadomości o nich trafiały doń znacznie wcześniej i niezależnie od sprawozdań Schellenberga.

Miał okazję do porównań i stwierdził, że przedsiębiorczy obersturmbannführer jest w swych wypowiedziach bardziej skromny, niżby wymagały tego okoliczności.

Schellenberg wahał się początkowo z osobistym wyjazdem do Holandii, który zaproponował mu Heydrich, wreszcie jednak jego awanturnicza żyłka wzięła górę nad ostrożnością. Naładowany sugestiami Heydricha, postanowił wyruszyć na niebezpieczną wyprawę w charakterze oficera Wehrmachtu, aktywnego uczestnika „wojskowej opo-

zycji", oficera wszakże niewysokiego rangą i stanowiskiem, choć służbowo związanego z czułym instrumentem naczelnego dowództwa, mianowicie z wydziałem komunikacji Oberkommando der Wehrmacht. Wszystko to przemyślane było do szczegółów, z uwzględnieniem czynnika psychologicznego. Trzeba było się liczyć z dużą nieufnością Anglików.

Heydrich stwierdził, że Schellenberg przewiduje wszelkie ewentualności. Przybrać postać oficera Wehrmachtu można było w sposób bardzo prosty, poprzez stworzenie fikcyjnej, nie istniejącej w ogóle osoby. Sekcja techniki RSHA potrafiła sporządzić wszelkiego rodzaju dokumenty. Schellenberg postanowił jednak wystąpić przed Anglikami jako autentyczny oficer właśnie z wydziału komunikacji OKW. W wyniku tego postanowienia pewien kapitan o nazwisku Schaemmel z OKW został zawiadomiony przez swych przełożonych, że ma niezwłocznie odbyć dłuższą podróż służbową do Polski. Kapitan nie zdziwił się temu, jego obowiązki wymagały częstych wyjazdów, wyjazd zaś do Polski o tyle nawet powitał z zadowoleniem, że stwarzał on okazję do lepszego zaopatrzenia jego licznej rodziny w polską żywność i inne zdobycze zarekwirowane Polakom.

Gdy kapitan Schaemmel jechał z Berlina w kierunku Poznania, obersturmbannführer Schellenberg znajdował się w pośpiesznym pociągu Berlin — Düsseldorf. Gdy kapitan Schaemmel w błogim nastroju czytał sensacyjnie brzmiący komunikat o zatopieniu przez dowódcę U-47, Günthera Priena, angielskiego okrętu liniowego *Royal Oak*,

obersturmbannführer Schellenberg, zamknąwszy drzwi przedziału, wkuwał w pamięć wszystkie szczegóły i szczególiki z życia człowieka, którego nazwisko miał nosić. Liczna rodzina kapitana Schaemmela sprawiała mu co prawda pewną trudność, ale właśnie posiadanie licznej rodziny mogło wywrzeć na spodziewanych rozmówcach pozytywne wrażenie.

Gruntowne opanowanie historii familii Schaemmelów stanowiło zresztą dla mózgu Schellenberga nietrudną gimnastykę w porównaniu z pamięciowym opanowaniem tych wszystkich szczegółów, które dotyczyły „tajnego sprzysiężenia". Aczkolwiek F-479 starał się nie szafować rewelacjami o „opozycji", rewelacje te z biegiem czasu bardzo się wzbogaciły. „Spisek" rozgałęział się w enuncjacjach „uchodźcy" szeroko na wszystkie kierownicze instytucje wojskowe.

Ostatnią, lecz ważną, najważniejszą może sprawę stanowiło wczucie się w osobowość kapitana Schaemmela. Schellenberg zajął się tym już w Düsseldorfie, gdzie na potrzeby akcji wynajęto niewielką willę, którą wyposażono w niezbędne urządzenia techniczne. Po paru dniach uznał, że wszedł dobrze w rolę niemieckiego oficera. Próby przeprowadzone w odpowiednich sytuacjach potwierdzały tę opinię. W interpretacji Schellenberga kapitan Schaemmel reprezentował oficera umiejącego godzić pruskie tradycje wojskowe z bardziej nowoczesnymi poglądami na świat. Dość dużą trudność sprawiło w związku z tym opanowanie sztuki używania monokla. Do tego trzeba się było przyzwyczajać wyjątkowo mozolnie.

Heydrich w tym czasie przekazał do Holandii odpowiednie instrukcje. 20 października od F-479 nadeszła wiadomość, która nawet Heydricha wprawiła w podniecenie: Best zgodził się na spotkanie z niemieckim oficerem. Miało ono nastąpić nazajutrz w holenderskim miasteczku Zutphen.

W ciągu niespełna godziny Heydrich zjawił się u Himmlera.

— Jeśli cokolwiek choćby uda się nam zdobyć od Anglików — odezwał się Himmler po relacji szefa RSHA — będzie to sukces ogromny. Chciałbym panu powiedzieć, Heydrich, że führer ma na uwadze jeszcze jedną, bardzo interesującą okoliczność. Otóż, gdy my staramy się przestrzegać neutralności Holandii, wywiad brytyjski gospodaruje tam sobie, jak u siebie w domu. Tak samo zresztą dzieje się w Belgii, gdzie dla odmiany goszczą Francuzi. Tymczasem nasi panowie generałowie gotowi są zmienić korzystne dla nas możliwości ofensywne i zrezygnować z natarcia przez tereny Holandii i Belgii, aby, broń Boże, nie naruszać tej ich całej tak świętej neutralności. Jest więc wcale nie wykluczone, że będziemy musieli wyciągnąć w odpowiednim momencie tę historię z Bestem w Holandii, jeśli już nie przed całym światem, to przynajmniej przed tchórzami z Oberkommando des Heeres *. Führer podkreślił to, wobec czego Schellenberg może nawet dopuścić do incydentu.

— Byleby nie był to głupi incydent — wtrącił Heydrich.

* Oberkommando des Heeres — naczelne dowództwo wojsk lądowych.

— Słusznie. Nie posądzam jednak naszego beniaminka o głupotę. Zresztą, niech pan z nim jeszcze porozmawia. Niech działa ostrożnie, ale też niech się nie krępuje. W gruncie rzeczy powinien mieć jakąś swobodę. Jeśli Gliwice nie udały się nam tak, jak powinny były się udać, stało się tak na skutek ograniczania możliwości naszych ludzi. Schellenberg ma więcej polotu niż Müller.

Heydrich zadzwonił do Düsseldorfu. Schellenberg nie bez zdziwienia wyczytał w głosie szefa wyraźne nuty troskliwości.

— Niech pan uważa na siebie, Schellenberg. Proszę postępować tak, jak pan uzna to za stosowne, ale niech pan będzie ostrożny. Źle będzie, jeśli się panu coś stanie; niech pan pamięta, z kim pan ma do czynienia.

— Przygotowałem wszystko, łącznie z samym sobą, gruppenführer — odpowiedział Schellenberg.

— Dobrze, wierzę, że poradzi pan sobie. W każdym razie poleciłem naszym punktom granicznym wejść w stan pogotowia. Od pańskiej misji zależy teraz więcej niż uprzednio. Führer oczekuje wyników.

Spotkanie „kapitana Schaemmela" z kapitanem Payne-Bestem nastąpiło bez przeszkód w umówionym terminie. Schellenberg był zaskoczony świetną niemczyzną swego nowego znajomego, więcej jeszcze jednak zaskoczył go monokl Anglika. W Arnhem, gdzie wkrótce Schellenberg i Best zawitali, do towarzystwa dołączyli się dwaj inni oficerowie. Jeden z nich przedstawił się jako major Stevens, drugi jako porucznik Copper czy też

Coppen, Schellenberg niedokładnie usłyszał nazwisko. O pierwszym wiedział, że pełni obowiązki rezydenta angielskiego wywiadu w Holandii, drugiego zupełnie nie znał. Porucznik zaintrygował go tym bardziej, że w zachowaniu różnił się, choć niewiele, od swych starszych kolegów.

O całym przebiegu pierwszego spotkania gruppenführer Heydrich dowiedział się dokładnie z bezpośredniej relacji Schellenberga, który tegoż jeszcze dnia zdążył przybyć przez Düsseldorf do Berlina. W Arnhem wszyscy czterej zatrzymali się na krótko, bowiem „kapitan Schaemmel" wyraził życzenie, aby w miarę możliwości mógł uniknąć przebywania w większych miejscowościach.

— Panowie słyszeli chyba o gestapo — zauważył. — Praktycznie biorąc, każdy wyjazd z terenu Niemiec jest kontrolowany, chciałbym więc uniknąć niepotrzebnych i dość niebezpiecznych indagacji.

Best skinął głową.

— Wydawało mi się nawet w czasie jazdy do Arnhem, że za nami zdąża jakiś samochód — powiedział, spoglądając na swego nowego znajomego.

— O ile wiem — odrzekł spokojnie Schellenberg — stosują oni różne sposoby, w każdym razie bardziej, jak sądzę, sprytne.

W rezultacie rozmowy toczyły się już cały czas w dużym czarnym *Buicku* Anglików, prowadzonym przez Besta. Ich uczestnicy przez przeszło dwie godziny przemierzyli sporo kilometrów po holenderskich szosach, cały czas znajdując się w ruchu i wykorzystując każde większe skrzyżowanie do zmiany kierunku. Schellenberg ocenił ten fakt jako wyraźny dowód zaufania do jego osoby. Potwierdzały to również w pewnym stopniu wypowiedzi Anglików, którzy od razu przeszli do tematu, nie zadając sobie zbytniego trudu wypytywaniem „kapitana Schaemmela" o jego udział w antyhitlerowskiej opozycji.

„Kapitan Schaemmel" nie prowokował zresztą do zbędnych pytań. Opowiedział swym współtowarzyszom jazdy o opozycyjnej grupie, do której należał, podkreślając, że ma ona kontakty z innym silnym ośrodkiem opozycji, do którego należy wielu wybitnych przedstawicieli społeczeństwa niemieckiego. W skład grupy wojskowej wchodzili przede wszystkim wyżsi oficerowie i pracownicy sztabów, a kierował jej działalnością jeden z dowodzących generałów.

— Czy mógłby nam pan powiedzieć, co to za generał? — Best przerwał dopiero w tym miejscu wynurzenia rozmówcy.

— Wybaczy pan, ale nie jestem jeszcze do tego upoważniony — odparł „kapitan Schaemmel". — Rozumieją panowie, że w obecnym stadium naszych negocjacji, gdy właściwie zbyt mało o sobie wzajemnie wiemy, trudno byłoby decydować mnie samemu. Nie wykluczam jednak wcale, że jeśli rozmowy doprowadzą do spodziewanych wyników, generał, o którym mówimy, spotka się z panami osobiście.

— Czy będzie to możliwe? — zareplikował szybko i niespodziewanie Stevens. — Mimo gestapo?

„Kapitan Schaemmel" uśmiechnął się.

— Sądzę, że jeśli zaistnieje potrzeba, i to będzie możliwe — rzekł ze swobodą. — Nawet mimo gestapo.

„Kapitan Schaemmel" zajął się dalej celami, jakie postawiła sobie „opozycja" w armii. Mówił o planowanym usunięciu Hitlera i stworzeniu rządu kierowanego i kontrolowanego przez armię. Rząd ten skłonny byłby do zawarcia natychmiastowego porozumienia pokojowego z Anglią, gdyby rząd angielski udzielił mu poparcia. „Schaemmel" prosił w tej kwestii o wypowiedź, niezmiernie ważną dla dalszej działalności „opozycji".

Anglicy nie taili swego zainteresowania słowami „Schaemmela". Stwierdzali co prawda, że sami nie mogą podjąć decyzji natury politycznej, jednakże zakładali z góry, że akcję zmierzającą do dalszego rozszerzania się wojny i nawiązania na powrót stosunków pokojowych z Niemcami rząd angielski poparłby z pewnością. Usunięcie Hitlera mogłoby wpłynąć pozytywnie na poprawę sytuacji, rząd angielski liczy się bowiem z jego dalszymi agresywnymi posunięciami. Konkretna pomoc Anglii zależeć musiałaby wszakże od konkretnych planów grup opozycyjnych, z którymi kierownicze koła angielskie musiałyby się zapoznać.

— Jeśli nie widzi pan przeszkód w zorganizowaniu spotkania z kierownikiem waszej grupy — mówił Best — moglibyśmy istotnie te szczegóły omówić z nim bezpośrednio.

— A czy panowie mieliby w takim przypadku odpowiednie upoważnienia od swego rządu? — zainteresował się „kapitan Schaemmel". — Panowie rozumieją, że po powrocie zostanę o to zapytany.

— Jeśli chodzi o nas, możemy nawiązać kontakt z ministerstwem spraw zagranicznych w każdej chwili — zapewnił Stevens. — Proszę to przekazać swym przyjaciołom.

Jak oświadczył Schellenberg Heydrichowi, rozstanie przebiegło w tak dobrym nastroju, że nie można było wątpić, iż „kapitan Schaemmel" nie tylko niczym się nie zdradził, ale z pewnością zyskał zaufanie.

— Oby tylko ci pańscy Anglicy byli autentyczni — zatroskał się niespodziewanie Heydrich. — Wszystko to idzie tak łatwo... Przyznam się, że czasami trudno mi wierzyć, że wywiad angielski daje się nabierać na tę całą komedię.

— Nasi ludzie ręczą za autentyczność Besta i Stevensa, ten trzeci tylko jest nieznany, ale to jakiś ich pomocnik. Na Anglika, prawdę mówiąc, mało on wygląda. Rzadko się w ogóle odzywa. Może to jakiś Holender...

— To nie byłoby wcale takie złe — powiedział Heydrich. — Zależy tylko, w jakim przypadku.

Heydrich nie wyjawił swej myśli, ale możliwość bliskiego kontaktu oficera wywiadu holenderskiego z dwoma Anglikami — co oznaczało w rzeczywistości współpracę wywiadu holenderskiego z angielskim — mogła przynieść pewne korzyści przy ewentualnym uzasadnieniu naruszania neutralności Holandii przez Niemcy, na co się coraz bardziej zanosiło. Z drugiej jednak strony Heydrichowi znane były bliskie stosunki łączące wojskowego attaché holenderskiego w Berlinie,

pułkownika Sasa, z zastępcą szefa niemieckiego wywiadu wojskowego, pułkownikiem Osterem, do którego Heydrich w pierwszym rzędzie nie miał zaufania. Należało mieć na uwadze i tę okoliczność, że do Ostera i Canarisa dotrą wiadomości od Sasa o nawiązaniu łączności Anglików z jakąś wojskową grupą opozycyjną. To musiałoby zainteresować szefów Abwehry, w pewnych zaś okolicznościach wprawić cały aparat wywiadu w stan alarmu. Mogło paść i nazwisko Schaemmela, a wówczas Abwehra z łatwością odkryłaby, kto jest Schaemmelem prawdziwym, a kto fikcyjnym. Heydrich pomyślał, że jeśli Schellenberg znajdzie się niespodziewanie w holenderskim więzieniu, stanie się to z pewnością za sprawą Abwehry, chyba żeby sam popełnił jakieś głupstwo.

Sprawozdanie Schellenberga przeciągało się długo, dłużej jeszcze trwała dyskusja, jaka się potem wywiązała. „Kapitan Schaemmel" wyznaczył następne spotkanie z brytyjskimi agentami na dzień 30 października. Należało zdecydować, czy pojedzie na nie ponownie sam, z nowymi tylko propozycjami i wiadomościami, czy też z kimś, kto mógłby wystąpić jako poważniejszy już stanowiskiem i wiekiem rzecznik „opozycji". Wówczas właśnie padło z ust Schellenberga nazwisko Maxa de Crinisa.

Heydrich skrzywił się wyraźnie.

— Prawdziwego Schaemmela wysłał pan w nieznane bez trudu, jakiego jednak generała czy choćby pułkownika, bo o takiego już chodzi, zmusi pan do wyjazdu tak, aby nikt nie zorientował się, w czym rzecz?

— Pomyślę o tym, gruppenführer — odparł Schellenberg. — Ostatecznie jednak de Crinis może wystąpić pod swym własnym nazwiskiem z największym powodzeniem. Jest pułkownikiem służby zdrowia, a tacy również powinni być w opozycji. Prezencja zaś znakomita. Poza tym pochodzi z Austrii i mówi z wyraźnym akcentem austriackim, co Anglików usposobi do niego z pewnością przychylnie.

Heydrich spojrzał na Schellenberga z rozbawieniem.

— Dziwne jest to pańskie rozumowanie... Chciałbym panu przypomnieć, że führer również pochodzi z Austrii...

— Anglicy właśnie tym bardziej będą mieli zaufanie do Crinisa.

Twarz Heydricha nagle spoważniała, w myśli jednak gruppenführer jeszcze raz musiał przyznać podwładnemu sporo racji.

Schellenberg zdążył już od tamtej pory wtajemniczyć de Crinisa, bardzo zresztą delikatnie, w plany dotyczące jego osoby. Wyraził bez wahania zgodę. Teraz Heydrich miał udzielić ostatecznej aprobaty dla przedsięwzięcia, którego termin był już bliski. Kalendarz biurkowy wskazywał datę: 27 października.

Gruppenführer Heydrich zamknął teczkę, odłożył ją na bok i polecił wydzwonić sturmbannführera Schellenberga.

— Zgadzam się, Schellenberg, plan akceptowany — powiedział w słuchawkę. — Niech się pan wraz ze swym przyjacielem przygotuje do wyjazdu.

Hitler dążył do możliwie szybkiego rozpoczęcia ofensywnych działań przeciw Francji, powodowany nie tylko uniesieniem po zwycięstwie w Polsce. W rzeczywistości chodziło mu głównie o wyeliminowanie Francji jako przeciwnika, co mogło skłonić Anglię do nawiązania porozumienia z Niemcami. Sytuacja, jaka panowała w samej Francji, sprzyjała jak najbardziej jego planom. Rząd francuski wypowiedział wprawdzie 3 września wojnę Niemcom, ale nie uczynił nic, aby ją prowadzić. W rezultacie na froncie francusko-niemieckim zapanowała sytuacja, którą Anglicy określali mianem *phony war*, Niemcy — *Sitzkrieg*, a sami Francuzi — *drôle de guerre**. Zdaniem paryskich sztabowców armia francuska nie była jeszcze w stanie prowadzić działań zaczepnych, zresztą sztabowcy ci nie mieli do tych działań najmniejszej ochoty.

Morale żołnierzy francuskich przedstawiało się wprost fatalnie, na co niemały wpływ wywarła także cierpliwie i sprytnie prowadzona propaganda niemiecka. Gdy Abwehra uruchamiała coraz więcej „ekip fraternizacyjnych", których zadaniem było bratanie się Niemców z żołnierzami francuskimi, Goebbels zmontował aż trzy radiostacje, wzywające rzekomo z terenu Francji do zaprzestania wojny z Niemcami. Gdy Luftwaffe rozrzucała całe tony widokówek wyobrażających

* *Phony war* — wojna głośników; *Sitzkrieg* — siedząca wojna; *drôle de guerre* — dziwna wojna.

angielskiego oficera uwodzącego osamotnioną żonę francuskiego żołnierza, setki młodych hitlerowskich aktywistów wypisywało na pocztówkach po francusku: „Czy chcesz umierać za Gdańsk?" Pocztówki te przesyłano z krajów neutralnych na adresy brane po prostu z książek telefonicznych, a poczta francuska szybko je doręczała adresatom.

Wojna istniała właściwie na papierze. W październiku największe bodaj wrażenie w Niemczech wywołał komunikat frontowy, który mówił: *Na zachodzie słaba działalność rozpoznawcza i artyleryjska. W rejonie Kolmaru myśliwiec niemiecki zestrzelił francuski balon na uwięzi.*

We Francji przebywało już parę dywizji angielskich, które sam Winston Churchill, wówczas już pierwszy lord Admiralicji, określił zgodnie z prawdą jako „symboliczny datek". Dowództwo angielskich sił ekspedycyjnych ulokowało się w Le Mans, a żołnierze zajęli się rozbudową umocnień polowych na granicy francusko-belgijskiej. Był to na długo cały niemal wkład Anglii w wojnę. Pierwszy Anglik zginął we Francji dopiero 8 grudnia. W tym samym czasie kapitanowie niemieckich i angielskich statków, ładujących rudę żelazną w Narwiku, zapraszali się nawzajem, zgodnie ze starą morską tradycją. Szeroko zapowiadanych na początku wojny nalotów bombowych na Niemcy lotnictwo angielskie nie przeprowadzało nie tyle wskutek swej słabości, ile wobec stanowczego protestu... rządu francuskiego, który stanął na stanowisku, że spowodują one odwet lotnictwa niemieckiego, co mogłoby grozić

zniszczeniem francuskiego potencjału przemysłowego.

Istotnie, dziwna to była wojna.

Hitler znał doskonale jej przyczyny, zarówno militarne, jak też — co ważniejsze — polityczne. Nie zamierzał jednak w aktualnej sytuacji ziścić pragnień zachodnich kontrpartnerów. Francja musiała paść, była bowiem zbyt łakomym kąskiem, a w następstwie musiała ugiąć się sama Anglia. Dopiero wtedy mógł nastąpić decydujący o ostatecznym triumfie Niemiec marsz na wschód.

Oznajmiając 27 września dowódcom Wehrmachtu swą decyzję uderzenia na zachód, Hitler nie rzucał słów na wiatr, jak skłonny był przypuszczać dowódca wojsk lądowych, generał Walter von Brauchitsch. Nastrój Brauchitscha, bojącego się ewentualnej klęski, poprawiło dopiero przemówienie führera, wygłoszone 6 października. Przemówienie to uznano ogólnie w świecie za propozycję pokojową, pod adresem Anglii i Francji, tak też je naiwnie potraktował Brauchitsch.

Hitler mówił wiele o ogólnej współpracy narodów Europy, wzywał do uniknięcia rozlewu krwi, groził „wojennym podżegaczom", gotów był do negocjacji, wyciągał rękę do zgody.

Było to 6 października, a już 9 października, dokładnie w trzy dni po swym „pokojowym" przemówieniu, Hitler wezwał do siebie generałów von Brauchitscha oraz Haldera i odczytał im napisany przez siebie memoriał, który stwierdzał, że jeśli Anglia i Francja nie odpowiedzą pozytywnie na jego propozycję, należy bez straty czasu rozpocząć działania. W związku z tym Hitler polecał

przygotować operację zaczepną przez terytorium Luksemburga, Belgii i Holandii. Celem ofensywy miało być rozgromienie wojsk francuskich. Brauchitsch zaniepokoił się: czyżby przemówienie führera było tylko propagandowym chwytem? Generał zadał sobie trud ponownego przestudiowania tekstu mowy swego wodza i teraz dopiero ogarnęły go wątpliwości. „Propozycje pokojowe" okazywały się zbiorem szumnych frazesów, niczym więcej.

Oczekiwano reakcji rządów zachodnich. 10 października wygłosił przemówienie premier Francji Edward Daladier, który powiedział, że Francja złoży broń wówczas dopiero, gdy otrzyma gwarancję swego bezpieczeństwa. 12 października zabrał głos premier Anglii, Neville Chamberlain. I ten zażądał konkretnych dowodów pokojowych dążeń Niemiec, inaczej Anglia miała „wytrwać do końca".

Ta oficjalna wymiana zdań otrzymała oprawę w postaci dyplomatycznych zabiegów w celu uzyskania porozumienia, ale o ile rządy angielski i francuski zabiegi te skłonne były podtrzymywać, Hitler ani myślał zajmować się jakimikolwiek przetargami. Ostateczna decyzja dojrzała, tym bardziej że nietrudno było dostrzec, jak wiele niepewności tkwiło w słowach i Daladiera, i Chamberlaina. Jeśli jego przemówienie było istotnie tylko manewrem, to przemówienia szefów rządów zachodnich państw odsłaniały jeszcze bardziej ich słabość i skłonność do ustępstw.

„Fall Gelb", jak określano plan inwazji na Francję, wszedł w rezultacie w stan praktycznej

realizacji 15 października. Generał Jodl, szef kierownictwa operacyjnego naczelnego dowództwa sił zbrojnych, zażądał od szefa sztabu wojsk lądowych, generała Haldera, informacji o stanie przygotowań armii do ofensywy. Halder przedstawił bieg spraw: zrobiono wiele, jednakże sporo jest jeszcze braków, szczególnie w sprzęcie technicznym i amunicji. Ogólnie biorąc, wojska lądowe nie były, zdaniem Haldera, gotowe do oczekującej je kampanii.

Jodl, fanatyczny zwolennik planów Hitlera, natychmiast zrelacjonował przebieg rozmowy szefowi naczelnego dowództwa Wehrmachtu, Keitlowi, ten zaś spowodował, że już następnego dnia Hitler wezwał do siebie generała Brauchitscha.

Była to pierwsza rozmowa generała z Hitlerem, w której Brauchitsch pozwolił sobie na wypowiedzenie zastrzeżeń przeciwko zbyt pośpiesznym działaniom.

— Odniosłem wrażenie, że mimo wszystko Anglia i Francja dążą do porozumienia — stwierdził generał, pragnąc okrężną drogą dojść do celu.

— Nie mam już tej nadziei — odpowiedział z równie głębokim jak udanym westchnieniem Hitler. — Nie chcę wojny, niech mi pan wierzy, nie chcę wojny zwłaszcza z Anglią, z którą łączą nas bliskie związki rasowe, ale odpowiedź Chamberlaina przekonała mnie raz jeszcze, że Anglicy będą skłonni do porozumienia dopiero wtedy, kiedy odniosą ciężką porażkę. Nie musimy zadawać im ciosu bezpośrednio, wystarczy, jeśli pobijemy Francję. Mamy obecnie wszelkie szanse...

— Rozumiem pana racje, *mein führer* — Brauchitsch, znając aż nadto dobrze swego rozmówcę, starał się mówić jak najbardziej spokojnym tonem. — Myślę jednak, że niechęć Francji do wojny jest tak oczywista, iż szkoda lekceważyć możliwości dojścia z nią do rozsądnego porozumienia. Nic nie wskazuje na to, aby stanowisko Francji zmieniło się w przyszłości, raczej jej pokojowe tendencje będą wzrastać. Wykorzystajmy to, *mein führer*, na przygotowania. Na uderzenie potrzebujemy czasu. Pragnę przypomnieć panu, iż rozpoczynając działania przeciw Polsce, sam pan zapewniał, że w tym roku ofensywne działania na zachodzie będą wykluczone.

— Nie ja wypowiedziałem wojnę Anglii i Francji, lecz one mnie — gwałtownie przerwał Hitler. — Wypowiedziały ją przypuszczając, że wycofamy się z Polski. Teraz Polska jest w naszych rękach. Fakty muszą być uznane, w tej czy innej formie. Londyn i Paryż poszłyby, jak sądzę, na jakiś kompromis.

— Zna pan przemówienie Daladiera i Chamberlaina. Odrzucają moje dążenia do pokoju, a ja targować się z nimi nie myślę. Zmusili mnie sami, abym teraz mówił z nimi innym językiem. Brauchitsch, zapewniam pana, że to uczynię. Jak daleko jesteśmy z planem ofensywy?

— Główne uderzenie przejdzie w rejonie Leodium — wyjaśnił krótko generał. — Złamania neutralności Belgii i zapewne Holandii nie da się uniknąć. Będziemy musieli wziąć na siebie konsekwencje tego kroku, a pamięta pan, *mein führer*, jak złe skutki przyniosło nam zaatakowanie Belgii ćwierć wieku temu...

— Konsekwencje biorę na siebie. Po zwycięstwie nikt mnie o to nie zapyta. W ogóle za politykę odpowiadam ja, niech mi pan pozostawi wszystkie tego rodzaju kłopoty. Ja chcę wysłuchać pana zdania w kwestii gotowości bojowej armii. Doszły mnie bowiem zastanawiające wieści...

Brauchitsch zaczerpnął powietrza.

— *Mein führer*, w ofensywie przeciw Francji decydującą rolę odegrać muszą związki pancerne i lotnictwo. Związki pancerne będą mogły osiągnąć gotowość bojową nie wcześniej niż w połowie listopada, ale wówczas warunki atmosferyczne pogorszą się na tyle, że nie będziemy w stanie wykorzystać czołgów w pełni. Jeszcze gorzej przedstawiać się będzie sprawa z lotnictwem. W Polsce pogoda nam sprzyjała...

Hitler zacisnął usta i przez dłuższą chwilę spoglądał na generała bez słowa.

— Dobrze — odezwał się wreszcie. — Wobec tego proszę przygotować się na termin między 15 a 20 listopada. Z samej ofensywy nie zrezygnuję w żadnym wypadku, proszę mieć to na uwadze.

Ostatnie zdanie zabrzmiało tak groźnie, że już następnego dnia Brauchitsch zainteresował się osobiście reorganizacją wojsk pancernych. Pomógł mu w tym wiele naciskany przez Hitlera Keitel. Już po paru dniach okazało się, że cały proces przygotowania dywizji pancernych będzie można na tyle przyspieszyć, że gotowość bojową osiągną 10 listopada.

22 października generał Keitel zameldował o tym Hitlerowi.

— Będzie to rzeczywiście możliwe? — starał się upewnić Hitler.

— Całkowicie pewne, *mein führer*.

Hitler wybuchnął:

— Cóż są wobec tego warci ci reakcjoniści z Zossen i Bendlerstrasse!* Przecież oni albo nie wiedzą, co się u nich dzieje, albo nie chcą tego wiedzieć.

Wkrótce jednak führer miał się przekonać, że „reakcjoniści" znajdują się nie tylko w dowództwie wojsk lądowych i sztabie generalnym tych wojsk.

25 października do gabinetu Hitlera przybyli Brauchitsch i Halder, a prócz nich trzej wybitni generałowie, dowodzący wojskami na zachodzie: von Bock, von Kluge i von Reichenau.

Hitler rozpoczął rozmowę od przypomnienia kampanii polskiej, w której wszyscy jego goście uzyskali świetne sukcesy. W efekcie zwycięstw do Rzeszy Niemieckiej przyłączono nowe, bogate tereny, sama zaś Polska znikła raz na zawsze z mapy. Wielkie Niemcy stały się potęgą na skalę światową i powinny ostatecznie przejąć hegemonię na kontynencie europejskim.

— Anglia ma inne od naszych cele — kontynuował — i sądzę, że potrafimy dojść z nią do porozumienia w korzystnej dla nas sytuacji**.

---

* W miejscowości Zossen pod Berlinem mieściło się naczelne dowództwo wojsk lądowych; na ulicy Bendlerstrasse w Berlinie znajdował się sztab generalny wojsk lądowych.

** Tę sytuację, zdaniem Hitlera, zapewniało zwycięstwo nad Francją.

Generałowie słuchali tych wywodów z uwagą należną gospodarzowi, przy ostatnich jednak słowach zesztywnieli zbyt wyraźnie, aby Hitler tego nie zauważył.

— Panowie znają moje dyrektywy — dorzucił nerwowo.

Przez pewien czas panowało milczenie. Pierwszy odezwał się Brauchitsch:

— Pozwoliłem sobie wyrazić panu, *mein führer*, pewne moje zastrzeżenia.

— Pamiętam. Chodziło, zdaje się, o warunki atmosferyczne.

Brauchitsch spojrzał teraz znacząco na Reichenaua. Generał ten cieszył się szczególną sympatią Hitlera i zgodnie z cichą umową całej piątki on właśnie miał nawiązać teraz wymianę zdań.

Reichenau od razu na wstępie wyraził pogląd, że początek ofensywy powinien nastąpić wiosną, w najbardziej dogodnej porze roku.

— Przesunięcie działań na wiosnę ma jeszcze dodatkowy plus — ciągnął. — Dywizje pierwszego rzutu będziemy mieć gotowe na dniach, to prawda, gorzej jednak jest z odwodami, a czwarty rzut, który z pewnością okaże się konieczny, zaczyna się w gruncie rzeczy organizować. Uważam, że w przypadku Francji nie możemy sobie pozwolić na ryzyko. Inną jeszcze sprawą jest przygotowanie czołgów i artylerii. Francuzi mają nad nami przewagę w broni pancernej, podobnie jak w haubicach.

— Nie kwestionuję ani konieczności lepszego przygotowania rezerw, ani przewagi artylerii francuskiej, choć nie całkowitej — podjął szybko Hitler. — Nie kwestionuję też innych argumentów, jak zła pogoda. Dobrze. Ale panowie oceniają wszystko wyłącznie z wojskowego punktu widzenia. To dość ciasny pogląd. Gdyby Fryderyk Wielki, znakomity dowódca, patrzył na wszystko przez połowę lunetę, przegrałby największe swe bitwy. Czas, niestety, nie pracuje na naszą korzyść. Każdy miesiąc, nawet tydzień — to wzmocnienie sił naszego przeciwnika. A co stanie się, jeśli Francuzi i Anglicy wejdą do Belgii i Holandii, nie licząc się z żadną neutralnością? Wkroczą do Holandii, opanują lotniska, a wtedy staniemy przed perspektywą działań na naszym własnym terytorium. To stać się nie może i ja do tego nie dopuszczę! Nie mogę dopuścić do tego, aby ziemię niemiecką deptali ci sami żołdacy, którzy weszli na nią w 1918 roku wskutek zdrady. A taka możliwość istnieje, oświadczam panom otwarcie, i mam na to dowody. Nie pozostaje nam nic innego, jak zaatakować, nim zaatakuje nas wróg, i zmyć hańbę osiemnastego roku.

Reichenau nie poddawał się jeszcze. Świetne zwycięstwo w Polsce, mówił, wsławiło oręż niemiecki na cały świat i sławy tej on, Reichenau, chce strzec. Przedwczesne uderzenie na Francję może tylko zaszkodzić. Wojna z tym dobrze przygotowanym przeciwnikiem, rozpoczęta w listopadzie, nie potoczy się błyskawicznie.

— To dobrze, że pragnie pan strzec sławy niemieckiego oręża — zareplikował Hitler znów w uniesieniu. — Ale nie powie pan chyba, że pragnie pan tego bardziej niż ja. Jeśli decyduję się na działania, biorę pod uwagę wszystkie oko-

liczności, jeszcze raz to podkreślam. Od panów żądam teraz, aby panowie zrozumieli, że zwycięstwo odnieść możemy wówczas, gdy wszyscy, od żołnierza do najwyższego dowódcy, będą przepojeni wiarą w to zwycięstwo.

Wszelka dalsza dyskusja stawała się zbędna i choć generałowie starali się jeszcze dorzucać swe uwagi, Hitler upierał się przy swoim. Uniósł się znów, gdy von Kluge poddał w wątpliwość efektywną wartość uderzeń pancernych, którym on, führer, przypisywał w wojnie olbrzymią rolę; dlatego właśnie faworyzował w sposób oczywisty Guderiana, Hotha i innych generałów wojsk pancernych, którzy odpłacali mu ślepym posłuszeństwem i wiernością. 27 października ci właśnie generałowie odznaczeni zostali krzyżami rycerskimi Żelaznego Krzyża, a z Guderianem Hitler uciął sobie podczas przyjęcia dłuższą rozmowę.

Tego samego dnia Hitler wezwał jeszcze Brauchitscha i Haldera.

— Przed dwiema godzinami nabrałem przekonania — oznajmił — że możemy liczyć na sukces dysponując tymi siłami, które panowie uznają za dostateczne. Dotyczy to w szczególności wojsk pancernych. Rozmawiałem z Guderianem, człowiek ten natchnął mnie jeszcze silniejszą wiarą w powodzenie. Podobnie jest z innymi.

— Guderian nie liczy się z jesiennym błotem, ani tym bardziej z mrozem i śniegiem — powiedział Brauchitsch. — To jest zaledwie dobry teoretyk.

Hitler żachnął się.

— W Polsce widziałem go w działaniu. Ten

człowiek wie, czego chce, i umie tego dopiąć. Liczę na wojska pancerne, panowie, lotnictwa jestem pewien, a para czołg-samolot zadecyduje we Francji. Niech mi pan powie, Halder, ile dni potrzeba będzie na translokowanie jednostek na stanowiska wyjściowe?

— To zostało już opracowane, *mein führer*. Potrzebować będziemy siedem dni. Chciałbym jednak, aby pan mnie wysłuchał...

— Zastrzeżenia pana są mi znane i jeśli o tym chce pan mówić, szkoda doprawdy czasu. O tym chce pan mówić?

— Tak — odrzekł Halder. — Jestem nadal za wiosną. Żałuję, ale nie jesteśmy jeszcze gotowi do działania.

Hitler spojrzał na Brauchitscha.

— Co pan na to? I pan się upiera?

Generał wyprostował się na krześle.

— Naczelne dowództwo chce uczynić wszystko, aby działania rozpocząć jak najwcześniej — Brauchitsch mówił to powoli, jak gdyby chciał dodać przez to powagi swym słowom.

— No widzi pan, Halder. Szkoda, że panowie nie uzgadniają swoich opinii. — Hitler uśmiechnął się ironicznie. — Siedem dni potrzebuje pan na dojście do granicy?

— Mówiąc ściślej: siedem nocy, *mein führer*.

— Rozumiem. Pragnę więc panom zakomunikować mą ostateczną decyzję: termin 12 listopada utrzymuję. Siedem dni wcześniej osobiście dam hasło wymarszu przez sztab dowodzenia Wehrmachtu. Proszę wydać odpowiednie rozkazy i zarządzenia.

Halder jeszcze na korytarzu Kancelarii Rzeszy zwrócił się do Brauchitscha z wyrzutami.

— Zaskoczył mnie pan swym powiedzeniem. Uważam, że była to ostatnia szansa sprzeciwienia się katastrofie, którą ściąga na nas ten człowiek.

— Myli się pan — zimno odpowiedział Brauchitsch. — Popełnialiśmy dotąd pewien błąd psychologicznej natury, ale ja zdążyłem błąd ten już dostrzec. Czy pan obserwował reakcje führera? Im bardziej pan go odwodzi od jakiegoś postanowienia, tym bardziej utrwala się jego upór. Należy postępować inaczej: utrwalić w nim przekonanie, że naczelne dowództwo i sztab generalny chcą mu pomóc, uczynić wszystko, co on poleca. Wtedy zmieni się on sam i cała atmosfera, a wówczas przyjdzie pora na wysunięcie zastrzeżeń.

— Ciekaw jestem, kiedy pan zdąży stworzyć tę przychylną atmosferę. Jest już 22 października, do wydania rozkazu wymarszu pozostaje zaledwie koło dziesięciu dni.

Zdążyli już wyjść z gmachu i podejść do oczekujących limuzyn. Brauchitsch wyciągnął rękę.

— Do rozpoczęcia natarcia mamy prawie trzy tygodnie. Przez trzy tygodnie, generale, pogoda może się zmienić. I to jest właśnie nasza szansa.

— Na to trudno liczyć — mówił szybko Halder. — Moim obowiązkiem jest zebrać opinie dowódców armii i przekazać je panu. Od tej pory — podniósł głos — losy wojsk znajdują się wyłącznie w pana rękach.

Brauchitsch nie odpowiedział nic. I on, i Halder, i wszyscy inni odziani w generalskie mundury aktualni oponenci Hitlera byli ludźmi, którym

Kurt von Tippelskirch, zachodnioniemiecki historyk wojskowy, a ongiś sam hitlerowski sztabowiec i generał, dał w roku 1951 taką charakterystykę: *Odpowiedzialni kierownicy wojskowi mogli teraz czy później zgadzać się z decyzjami Hitlera bądź też im się sprzeciwiać, lecz ich poczucie odpowiedzialności wobec wojsk pozostawało takie samo. Jakiegokolwiek „sabotażu" prowadzenia wojny nie pogodziłby nigdy ze swym sumieniem. Pogłoski tego rodzaju należą do krainy fantazji albo — przede wszystkim w latach późniejszych — biorą się z tendencyjnie złośliwych wymysłów.*

Próżno też gruppenführer Heydrich tropił generała von Stülpnagla, który wyruszył pod koniec października na polecenie Haldera do wyższych dowódców na froncie zachodnim. Heydrich chciał widzieć w Stülpnaglu organizatora „opozycji wojskowej", w rzeczywistości generał zebrał tylko ostatecznie informacje o stanie przygotowań oddziałów pierwszego rzutu. Stülpnagel należał do grona sceptyków, ale podczas inspekcji spotkał niewielu równych sobie. Jedyną bratnią mu duszą okazał się być dowódca Grupy Armii „C", generał Ritter von Leeb, który zdecydował się nawet na napisanie memoriału do Brauchitscha. W piśmie tym była mowa o brakach w zaopatrzeniu armii, o pokojowych nastrojach narodu niemieckiego oraz o niemożliwości zniszczenia Francji. Ale na memoriale generał von Leeb poprzestał, był bowiem generałem niemieckim o głębokim poczuciu odpowiedzialności.

Gdy Stülpnagel powrócił z inspekcji, Halder przyjął go niezwłocznie. Relację swoją zakończył

generał dość optymistycznie: dywizje pierwszego rzutu mogły wejść do akcji w oznaczonym terminie, dotyczyło to także wojsk pancernych.

— Rozmawiałeś na różne tematy? — zapytał Halder.

— Tak jak sobie życzyłeś. Robiłem to, oczywiście, delikatnie. Każdy ma zastrzeżenia, przeróżne, nie spisać ich na byczej skórze.

— Trzeba to wszystko przekazać zaraz Brauchitschowi. On musi iść do führera. Co dalej? Nie myślą się sprzeciwiać?

— Wybij to sobie z głowy — machnął ręką Stülpnagel. — Szalone myśli! Zastrzeżenia zastrzeżeniami, rozkaz rozkazem. Takie jest zdanie każdego.

— Pozostał więc tylko Brauchitsch i... deszcz — zakończył rozmowę Halder. — Módlmy się, aby pomógł nam Bóg.

Generał von Brauchitsch udał się do Hitlera 5 listopada, w rozstrzygającym dniu, w którym Hitler miał dać rozkaz wymarszu. Rozmowa, tak jak prosił o to generał, odbyła się w cztery oczy. Brauchitsch począł odczytywać führerowi własnoręcznie napisany memoriał, który stanowił zsumowanie wszelkich możliwych zastrzeżeń, tak jego własnych, jak podległych mu dowodzących generałów. Rozwijał swoje myśli powoli. Mówił o nadchodzącej jesieni i zimie, ostrzegał przed niedocenianiem francuskich i angielskich wojsk, a przecenianiem siły uderzeniowej pancernych wojsk niemieckich, wymieniał kolejno wszystkie braki w wyszkoleniu i zaopatrzeniu wojsk. Pierwszy wniosek z tych wywodów był taki, że wojna na zachodzie zamieni się w długotrwałą wojnę pozycyjną, podobnie jak podczas pierwszej wojny światowej.

Hitler, zachowujący się dotychczas spokojnie, począł wykazywać pierwsze oznaki zdenerwowania. Brauchitsch mówił dalej. Według jego własnych obserwacji, tudzież obserwacji podległych mu dowódców podczas wojny z Polską wiele dywizji piechoty wykazywało się mniejszym duchem bojowym niż piechota w pierwszej wojnie światowej. W tej sytuacji wojna przeciwko Francji, wobec której żołnierze niemieccy nie żywią szczególnej nienawiści, może przybrać niepożądany obrót.

Hitler uniósł się z miejsca.

— Dość! — krzyknął. — Pan nie wie, co mówi! Pan wysuwa tu niesłychane zarzuty przeciw armii, na której czele pan stoi, panie generale! I przeciwko mnie! Czy pan zdaje sobie z tego sprawę?

Brauchitsch zamilkł. Nigdy dotąd Hitler nie przemawiał nie tylko do niego, ale do żadnego z wyższych dowódców w ten sposób.

— Od sześciu lat — wołał Hitler — kształciłem naród, szczególnie młodzież, w dyscyplinie, posłuszeństwie i poczuciu obowiązku, a pan chce mi dziś opowiadać, że cała ta praca poszła na marne? Zaktywizowałem cały aparat partyjny, aby dać armii młodzież, o jakiej nie śniło się naszym przodkom. A pan uważa, że ta młodzież nie odpowiada warunkom?

Hitler podszedł do Brauchitscha, wyrwał mu

z rąk memoriał, rzucił go na ziemię i począł deptać, wrzeszcząc przy tym dziko:

— Mam dość tych wątpliwości! Ja ponoszę odpowiedzialność, nie pan lub jakikolwiek inny dowódca. Rozumie pan? Ja!

Teraz Hitler podbiegł do dzwonka. Do gabinetu wszedł adiutant.

— Wezwać Keitla!

Słysząc wrzaski już na korytarzu, Keitel ostrożnie uchylił drzwi i ujrzał siedzącego w zupełnym osłupieniu Brauchitscha, a tuż przy nim wymachującego rękami Hitlera.

— Ma pan zrobić wszystko, aby uderzyć jak najszybciej! — Hitler zobaczył Keitla, który wszedł wprawdzie do środka, lecz przezornie stanął przy drzwiach. — Słyszy pan, Keitel? Pan tego dopilnuje!

— Tak jest, *mein führer* — zdołał wykrztusić z siebie przerażony generał.

— Pan może odejść, Brauchitsch! — zawołał Hitler.

Brauchitsch bez słowa wstał, skłonił głowę i odszedł sztywnym krokiem ku drzwiom.

— Czy wie pan, co on mi powiedział? — zwrócił się Hitler do Keitla po jego wyjściu. — Powiedział, że mamy dywizje wychowane w duchu narodowosocjalistycznym, które nie są zdolne do walki, którym brak ducha bojowego! Pan sobie wyobraża? On mówi, że naród chce pokoju! Ja też chcę pokoju! Wszyscy chcemy pokoju, ale niemieckiego pokoju, który musimy sobie zdobyć

siłą! Niemiecki pokój to Europa w naszych rękach, rozumie pan?

Gdy Hitler uspokoił się nieco, Keitel wdał się z nim w dyskusję, w której osoba Brauchitscha wysuwała się na plan pierwszy.

Minęła godzina trzynasta.

O tej właśnie godzinie Hitler miał zadecydować, czy ofensywa na Francję rozpocznie się 12 listopada. Zgodnie z rozkazem po hasło przybył do kancelarii Rzeszy pułkownik Warlimont z naczelnego dowództwa Wehrmachtu.

Szef adiutantury Hitlera polecił mu oczekiwać na Keitla.

Warlimont widział przechodzącego obok bladego i zapatrzonego w przestrzeń Brauchitscha. Wreszcie na korytarzu ukazał się Keitel. Wysłuchawszy pułkownika, generał powrócił do Hitlera.

— Hasło do rozpoczęcia? — zdziwił się Hitler. — Jakie hasło?

— Ma pan, zgodnie z własną zapowiedzią, zadecydować teraz, czy oddziały mają ruszyć dziś na stanowiska wyjściowe, by dwunastego rozpocząć ofensywę — wyjaśnił Keitel.

— Oczywiście, wydać to hasło! — zawołał wściekle Hitler. — Powiedziałem, słyszał pan przecież, żeby uderzyć jak najszybciej!

Keitel zniknął za drzwiami i pobiegł do Warlimonta, po czym Warlimont ruszył do najbliższego telefonu i połączył się z oddziałem operacyjnym sztabu generalnego wojsk lądowych. Telefon odebrał podpułkownik Heusinger.

— Niech pan posłucha — powiedział do słu-

chawki Warlimont. — *Fall Gelb*, hasło *Rhein**. Usłyszał pan dobrze? Niech pan powtórzy.

— To chyba nieporozumienie — zdziwił się Heusinger. — Powiedziano mi, że naczelny dowódca wojsk lądowych wstrzymał u führera wydanie tego hasła.

— Prawdopodobnie tego nie uczynił, skoro panu je przekazuję. Proszę pisemnie potwierdzić odbiór — głos Warlimonta zabrzmiał ostro.

— Proszę pana pułkownika również o pisemne potwierdzenie — szczeknął w słuchawkę Heusinger.

Wieczorem ruszyły ku linii frontu pierwsze transporty. Hitler w tym czasie odbył dwie długie rozmowy z marszałkiem Goeringiem, swym najbliższym współpracownikiem, oraz z reichsführerem SS i szefem policji, Heinrichem Himmlerem. I Goeringowi, i Himmlerowi Hitler użalał się na „zacofańców" i „reakcjonistów" spośród generalicji wojsk lądowych.

Jego monolog na ten temat był właściwie w każdej z obu rozmów wstępem do zasadniczej wymiany zdań.

— Brauchitsch przekroczył dziś granicę mego zaufania — kończył. — Zarzuty, które postawił mnie, narodowi i armii, dyskwalifikują go właściwie jako dowódcę wojsk lądowych i tylko wzgląd na sytuację polityczną powstrzymał mnie od udzielenia mu dymisji.

— Proszę zauważyć, *mein führer* — powiedział

* *Fall Gelb* — kryptonim ofensywy na Francję; *Rhein* (Ren) — hasło wymarszu.

Goering — jak różnie potrafią postępować ci sami ludzie. Niektórzy czołowi generałowie lotnictwa, tacy powiedzmy Kesselring czy Löhr, wywodzą się przecież z tych samych kół sztabu generalnego, tyle że są nieco młodsi. Jakże są jednak inni, oddani naszej partii i tobie, führerze!

— Jest to więc sprawa kierowania ludźmi i ich wychowywania. Wiem to nie od dziś. Kto jednak może zostać dowódcą wojsk lądowych?

— Zastanawiam się, czy istnieje konieczność dymisji Brauchitscha. To dobry generał, w Polsce pokazał, co potrafi. O ile wiem, nie przyszedł on dziś tutaj w swoim imieniu, wystąpił raczej, jeśli można użyć tego określenia, jako pośrednik. Wielu z generałów, jego przecież przyjaciół, zwycięstwo nad Polską zadowoliło, woleliby oni nie wdawać się w długotrwałą, jak im się wydaje, wojnę na zachodzie. Brauchitsch chciał przedstawić przede wszystkim ich zastrzeżenia, poradzić się ciebie, *mein führer*, przed wydaniem rozkazu wymarszu.

— Występował jako rzecznik reakcyjnej kliki. Ta klika istnieje!

— Istnieją pewni ludzie o pewnych zbliżonych poglądach — spokojnie powiedział Goering. — Nieraz już mieliśmy z takimi do czynienia i, jak wiesz, *mein führer*, umieliśmy sobie z nimi poradzić! Umieliśmy poradzić sobie nawet z komunistami, a ci byli, cóż tu mówić, najsilniejszymi naszymi wrogami. Jakże porównywać z nimi paru generałów! Tym trzeba odbierać po prostu okazje do wysuwania zastrzeżeń, a zamilkną i będą posłuszni. Przekonajmy ich nawet! Jeśli mówi-

my, że Anglia, a za nią Francja odrzucają nasze propozycje pokojowe, należy to pokazać światu na przykładach.

Hitler uważnie spoglądał na Goeringa. Gruby intrygant umiał często znaleźć właściwy klucz do zamkniętych drzwi, choć zdawało się niekiedy, że trzeba je będzie otwierać siłą.

— Szkoda, że angielski agent nie może podpalić Reichstagu — Hitler skrzywił usta w uśmiechu.

Goering roześmiał się w głos.

— To nie byłoby wcale takie złe, *mein führer*, gdyby właśnie angielski agent uczynił coś, co narodowi ukazałoby konieczność dalszej walki, a generałom odebrało ochotę do rozmaitych knowań. Niechże wreszcie Himmler zatroszczy się o to. On ma Heydricha. Nie lubię go, jak na swój wiek jest zbyt zarozumiały, ale to bardzo, bardzo zdolny człowiek...

Hitler pomyślał, jak niewiele pozostaje mu czasu, aby zrealizować ideę Goeringa, i tego samego jeszcze wieczoru wezwał do siebie Himmlera. Podobnie jak uprzednio, Hitler wyznał swe pretensje do generalicji, nadal nie oszczędzając Brauchitscha.

— *Mein führer* — zaczął Himmler, gdy jego mistrz ukończył wywody. — Brauchitsch nie ma bezpośredniego związku ze zmową pewnych generałów, niemniej pozostaje pod ich wpływem. Stwierdziliśmy ostatnio określone kontakty — łgał dalej — pozostaje tylko wyjaśnić, czy kontakty te wychodzą także poza granice Niemiec.

— Przeczucie mnie nie myliło! — zawołał Hitler. — A więc zmowa, tak? Czy to ma coś wspólnego z Hammersteinem?

— Zbieramy materiały — odpowiedział wymijająco Himmler. — Obawiam się tylko, że ci Anglicy nie przybyli do Holandii z próżnymi rękami. Szczęściem, umieliśmy dać im właściwego partnera.

Hitler tarł nerwowo dłonie.

— Przeklęci Holendrzy! Tak w ich pojęciu wygląda neutralność: dla nas piękne słowa, dla Anglików gościna. Ciekaw jestem, jak postąpiliby, gdyby udało im się zidentyfikować tego pańskiego Schellenberga.

— Miałby ciężką przeprawę, *mein führer*.

— A Holendrzy nie omieszkaliby okazji, aby roztrąbić na cały świat, że łamiemy ich neutralność. — Hitler zamyślił się na chwilę. — Nie chodzi jednak o nich, to druga sprawa. Zastanawiam się, jakie praktyczne cele mają ci Anglicy, czy wiecie już coś na ten temat?

Himmler począł referować przebieg ostatnich rozmów Schellenberga. Jak przewidywał, Hitler wykazał wyraźnie niezadowolenie, gdy dowiedział się, że Anglicy interesują się przede wszystkim możliwością obalenia jego władzy.

— Trzeba im odebrać wszelkie złudzenia — powiedział ostro, po czym pochylił się ku Himmlerowi i ściszył głos: — Mam pewną myśl, Heinrich — zaczął.

Rozmowa zakończyła się już po północy, ale Himmler po wyjściu z gmachu Kancelarii Rzeszy nie udał się na spoczynek. Znalazłszy się

w swym gabinecie, polecił niezwłocznie wezwać gruppenführera Reinhardta Heydricha.

Diabelska kuźnia rozpoczęła swą pracę. Zrodziła się nowa zmowa zbrodniarzy. Powzięte plany miały niezwłocznie wejść w stadium realizacji.

Był to już 6 listopada 1939 roku. Za dwa dni führer udać się miał do Monachium, aby, jak co roku, wystąpić tam przed starymi bojownikami swej partii.

III. SPOTKANIE SZPIEGÓW

Walter Schellenberg mógł być zadowolony z dotychczasowych wyników przedsięwzięcia. Znani ze sprytu i przebiegłości angielscy szpiedzy niespodziewanie dali się wciągnąć w pułapkę. Jednakże przeczucie mówiło mu, że Anglicy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Gdyby sam był na ich miejscu, wykazywałby z pewnością dalej posuniętą podejrzliwość. Schellenberg nie mógł oczywiście wiedzieć, jaką opinię jako kapitan Schaemmel zyskał u Anglików. Payne-Best tymczasem powiadomił swą londyńską centralę, że Schaemmel jest prawdopodobnie tym, za kogo się podaje, na co wskazuje jego ograniczoność, typowa dla oficerów niemieckich tego szczebla. Payne-Best dodawał, że kapitan Schaemmel jest niedostatecznie poinformowany, a w ogóle dość głupi, wobec czego zasługuje raczej na zaufanie. Trudno byłoby nazwać tę opinię pozytywną, lecz Schellenberg gdyby ją znał, byłby z pewnością z niej rad, takie bowiem właśnie, nie inne wrażenie chciał sprawić na Anglikach. De Crinis miał być inny, Schellenberg zaś upatrzył już sobie nowego pomocnika, którego zamierzał wykorzystać w przyszłości. Ten byłby już „generałem" i jednym z głównych szefów „opozycji".

Schellenberg przybył z de Crinisem do swego operacyjnego punktu w Dusseldorfie 29 października. Obaj poczynili ostatnie przygotowania, zainscenizowali nawet, i to udanie, kilka wystąpień, którymi popisać się mieli przed Anglikami. Schellenberg starał się nie zapomnieć o żadnym szczególe, uzgodnił też z de Crinisem sposoby porozumiewania się w trakcie rozmów.

— Zapamiętaj — mówił — jeżeli zdejmuję monokl lewą ręką, o właśnie tak — Schellenberg wolnym ruchem ujął szkło — będzie to oznaczało, abyś natychmiast przestał mówić, a do rozmowy przystępuję ja. Jeżeli znów zdejmuję monokl ręką prawą, ty momentalnie zabierasz głos.

— Czy to jest konieczne? — zastanawiał się neurolog. — Przecież można się będzie mniej więcej orientować samemu...

— To jest konieczne — zawyrokował Schellenberg — a poza tym ten przeklęty monokl w końcu na coś się przyda. Jeszcze jedno: jeśli powiem, że boli mnie głowa, rozmowę natychmiast przerywamy. Zgoda?

— Jeśli tak uważasz... — rzekł bez entuzjazmu de Crinis. Nie był zwolennikiem aż tak daleko posuniętej pruskiej dokładności, ustąpił jednak Schellenbergowi, uznając w nim specjalistę.

Rankiem 30 października obaj kamraci wyruszyli bez pośpiechu ku holenderskiej granicy.

Czasu mieli sporo. Niemieccy i holenderscy celnicy w Venlo nie czynili żadnych kłopotów i ich auto znalazło się na przedmieściach Arnhem grubo przed dwunastą. Spotkanie umówione było na dwunastą, na szosie wiodącej z Arnhem do Utrechtu, koło miasteczka Ede.

Niemcy znaleźli się na miejscu kilka minut przed dwunastą, nie zdziwili się więc, że szosa była pusta. Kiedy jednak minęła dwunasta, a na szosie nadal się nikt nie pojawił, Schellenberg, w przeciwieństwie do spokojnego zupełnie de Crinisa, począł się niecierpliwić. Powiększające się z minuty na minutę opóźnienie Anglików wydało mu się podejrzane.

Dochodziła pierwsza, a oczekiwany samochód nie nadjeżdżał. Schellenberg ruszył z miejsca, przejechał jakiś kilometr i zawrócił znów. Nie było mowy o omyłce co do miejsca i czasu spotkania, cóż więc wpłynęło na nieobecność Besta i Stevensa?

Zatrzymawszy się znów w pobliżu jakichś zabudowań Schellenberg wyszedł z samochodu na drogę i wtedy właśnie ujrzał dwóch holenderskich policjantów, jadących na rowerach. Pedałowali wolno i sturmbannführer sądził, że przejadą obok, ale parę kroków przed nim policjanci zatrzymali się. Jeden z nich zsiadł z roweru i podszedł do Niemca.

— Co tu robicie? — zapytał po holendersku.

— Czekamy na przyjaciół — wyskandował Schellenberg, chcąc, aby Holender zrozumiał odpowiedź. Mówił po niemiecku.

— Proszę wsiąść do wozu — polecił policjant. — Pojadę z wami do komisariatu.

Schellenberg zrozumiał jego słowa i po plecach przebiegły mu ciarki. Ale o sprzeciwie nie było mowy. Drugi z policjantów manipulował wymownie kaburą pistoletu.

— Nie rozumiem, czego oni od nas chcą — powiedział do de Crinisa, zapuszczając silnik.

Profesorowi wyraźnie zrzedła mina. Wybąkał coś na temat nieporozumienia i aż do samego Arnhem nie odezwał się słowem.

Oficer policji, który ich przyjął, znał dobrze niemiecki. Wypytywał długo, aczkolwiek uprzejmie, o cel przyjazdu. Sprawa ta interesowała go najbardziej. Schellenberg wymyślił na poczekaniu jakąś bajeczkę o znajomych Holendrach, z którymi umówili się na przejażdżkę, ale oczywiście nie mógł spełnić życzeń policjanta w kwestii dokładnych o nich danych.

Oficer pokiwał głową.

— Jestem zmuszony przeprowadzić rewizję panów.

— Protestuję! — zawołał Schellenberg, a de Crinis poparł go natychmiast.

— Niech mi pan wybaczy, panie Schaemmel, ale to konieczność. Panowie są obywatelami państwa, które prowadzi wojnę.

— Niemcy prowadzą wojnę, ale przecież nie z Holandią — de Crinis mówił to z wyniosłością arystokraty. Schellenberg nie bez przyjemności zauważył, że jego przyjaciel wszedł w swą rolę. Pomógł mu w tym najpewniej strach.

Holender rozłożył ręce.

— Takie mam polecenie.

Schellenberg chciał powiedzieć, że w to nie wątpi, ale ugryzł się na szczęście w język. Do pokoju weszło teraz dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach, którzy z zastanawiającą fachowością przeprowadzili osobistą rewizję obu Niemców, a następnie zabrali się do penetrowania ich bagaży. Każdy, najdrobniejszy nawet przedmiot badany był tak dokładnie, że Schellenberg przestał oddawać się złudzeniom. Zatrzymanie nie było wynikiem przypadku, to była ukartowana z góry operacja. Czyżby Anglicy zdołali wywęszyć, z kim w rzeczywistości mają do czynienia? Jeśli tak się stało, sprawę uznać można było za przegraną. Schellenberg widział już swoje nazwisko w holenderskich i nieholenderskich gazetach, a siebie samego w celi jakiegoś więzienia. Najbardziej jednak przerażała go myśl o reakcji Heydricha, Himmlera i Hitlera. Ci trzej panowie H z pewnością by mu nie przyszli z pomocą, a gdyby dostał się wreszcie po całym incydencie w ich ręce, los jego można byłoby uważać za przesądzony. Perspektywy były fatalne.

Holenderscy agenci nie znaleźli jednak nic, co wzbudziłoby jakieś ich podejrzenia. Rozczarowany wyraźnie efektami rewizji oficer powrócił do przesłuchiwań.

— Powiedziałem już — Schellenberg bez trudu udawał silne zdenerwowanie — że przyjechaliśmy do przyjaciół. Dalszych zeznań odmawiam stanowczo, póki nie pozwolicie mi na konsultację z adwokatem. Nic nie uzasadnia waszego postępowania!

— Wydaje mi się — dodał de Crinis — że posuwacie się za daleko. Nie ma pan żadnych podstaw, aby nas traktować w tak obraźliwy sposób. Zbadaliście nasze dokumenty, wiecie, że mamy holenderską wizę. To, co robicie, jest bezprawiem.

— Rząd niemiecki nie puści tego płazem! — zawołał Schellenberg. — Proszę natychmiast podać swe nazwisko i nazwiska pańskich ludzi!

Oficer zmieszał się i wyszedł na chwilę z pokoju. Schellenberg poczuł w sercu nadzieję, ale Holender, powróciwszy przystąpił znów do pytań. Można było podziwiać jego cierpliwość, tym bardziej że Niemcy poczęli się zachowywać arogancko, a de Crinis stracił nagle swe opanowanie i dwukrotnie uderzył pięścią w biurko.

W tym właśnie momencie wszedł, a raczej wbiegł do biura, człowiek, który przedstawił się uprzednio Schellenbergowi, jako porucznik Coppens czy też Copper i był towarzyszem Besta i Stevensa. Niemiec odczuł narastające w nim napięcie. Teraz musiało się wszystko rozstrzygnąć.

Porucznik podszedł do oficera, pokazał mu legitymację i wręczył jakieś pismo. Policjant przerzucił je szybko wzrokiem.

— Goed — rzucił i dodał coś szybko, czego Schellenberg nie potrafił zrozumieć. Anglik odpowiedział mu po holendersku. Oficer zwrócił się do Niemców.

— Muszę panów bardzo przeprosić, zaszła tu pewna pomyłka, za którą winni poniosą karę.

— Ładna pomyłka! — wybuchnął Schellenberg. — Więzi nas pan dwie godziny, obraża,

a teraz uznaje to za pomyłkę. Co to ma wszystko znaczyć?

— Proszę się nie gniewać — mówił oficer przesłodzonym głosem. — Otrzymaliśmy pewne informacje, ale dotyczą one innych osób. Panowie są wolni i mogą udać się, dokąd tylko sobie życzą. *Tot weerziens en goede reis!**

Schellenberg posłał mu na odchodnym bazyliszkowe spojrzenie, gdyby jednak mógł, ucałowałby teraz pyzatą gębę Holendra.

Tak bezskutecznie oczekiwany na szosie *Buick* Anglików stał przed budynkiem komisariatu, a przed jego drzwiczkami Niemcy ujrzeli Besta i Stevensa. Nie ulegało wątpliwości, że zatrzymanie, rewizja i przesłuchiwanie były ukartowane z góry i miały na celu identyfikację Niemców. Wszystko przebiegło pomyślnie i można było obecnie oczekiwać od Anglików zwiększonej jeszcze ufności. Zarówno Best jak Stevens pełni byli uprzejmości, przepraszali na wyścigi za swój błąd, bowiem oczekiwali podobno na Niemców w niewłaściwym miejscu. Schellenberg przedstawił im de Crinisa, który nie omieszkał wyrazić swego niezadowolenia. Anglicy odpowiedzieli nową porcją uprzejmości.

— Gdzie porozmawiamy dzisiaj? — przerwał rzeczowo Schellenberg.

— Zapraszam panów do Hagi — zaproponował Stevens.

— Ależ tam jest wielu Niemców. To zbyt ryzykowne!

* Do widzenia i szczęśliwej podróży (holender.).

— Podjedziemy bezpośrednio pod wejście do pewnego domu, a tam już nie dostrzeże nas nikt — tłumaczył Stevens. — To prywatny dom...

Jak się okazało, na domu, do którego zaprosił swych gości major Stevens, znajdowała się tablica, wieszcząca wszem i wobec, że znajduje się tu N. V. Handels Dienst Veer Het Continent, czyli Kontynentalny Bank Handlowy. Operacje bankowe stanowiły jednakże czynność raczej uboczną tej szacownej instytucji, ponieważ pod handlowym szyldem mieściła się tu po prostu agencja angielskiego wywiadu. Stevens czuł się w banku jak u siebie w domu.

Rozsiadłszy się w fotelach, przystąpili do rozmów. Jak wypadało to uczynić, inicjatywę ze strony niemieckiej przejął de Crinis, z Anglików natomiast najbardziej aktywny był Best. On też wypowiedział się negatywnie wobec postulatów de Crinisa, który w imieniu „opozycji" żądał pozostawienia przy Niemczech terenów Austrii, Czech i Polski. De Crinis powoływał się bardzo energicznie na krew niemieckiego żołnierza, nie zrobiło to jednak na Anglikach większego wrażenia.

Zdaniem mojego rządu Austria, Czechosłowacja i Polska muszą odzyskać niepodległość — oświadczył Best.

— Czy ma to oznaczać, że przywrócona zostanie dziejowa niesprawiedliwość i miliony Niemców znów znajdą się pod czeskim i polskim terrorem? — protestował de Crinis. — Korektury granic będą bezwzględnie konieczne.

— To jest inna rzecz. Myślę, że nowy rząd

niemiecki dojdzie do porozumienia z Czechosłowacją i Polską. Zwrot pewnych terenów na rzecz Niemiec będzie chyba możliwy, chodzi tylko o to, aby rzecz poważnie rozważyć.

De Crinis podkreślił raz jeszcze, że „nowy rząd" stanie po obaleniu Hitlera na gruncie granic z r. 1914 i że musi uzyskać z góry przyrzeczenie strony angielskiej, iż ten warunek zawarcia pokoju zostanie spełniony.

— To jedna sprawa — ciągnął. — Z kolei nasuwa się kwestia zwrotu Niemcom obszarów kolonialnych w Afryce i Azji, odebranych po roku 1918...

Best zmarszczył brwi.

— Czy to również stawiają panowie jako warunek?

— Oczywiście — przytaknął de Crinis. — Nowy rząd niemiecki zagwarantuje w zamian całość imperium brytyjskiego.

— Mam nadzieję — odparł dość chłodno Best. — Problem kolonii jest wszakże zbyt skomplikowany, aby nasz rząd mógł przejść nad nim do porządku dziennego. Odnoszę wrażenie, że panowie żądają zbyt wiele.

Schellenberg z trudem powstrzymał uśmiech. Tam, gdzie wchodziły w grę bezpośrednie interesy angielskie, Best natychmiast wykazywał zdecydowany opór. Dla dobra sprawy należało jednak nie ustępować. Sturmbannführer zdjął powoli monokl lewą ręką, a de Crinis, gotujący się już do zabrania głosu, zareagował jak należało: zamilkł i zajął się stojącą przed nim szklanką wody sodowej.

— Problem kolonii ma dla Niemiec ogromne znaczenie — oświadczył Schellenberg. — Jeśli Niemcy nie będą mogły zachować swych pełnych zdobyczy terytorialnych w Europie, muszą znaleźć tereny, na które skierują swe nadwyżki ludnościowe. Muszą panowie na coś się zdecydować, inaczej w Europie środkowej będzie stale istniała groźba wojny. Pragnę, aby panowie zwrócili szczególną uwagę na jedynie słuszne rozwiązanie. — Przypomniawszy sobie, że reprezentuje na spotkaniu nie inną, a wojskową opozycję, Schellenberg dodał: — Armia zdecydowana jest poprzeć taki tylko rząd, który będzie umiał pomyślnie rozwiązać sprawę kolonii na przyszłej konferencji pokojowej. — Włożywszy na powrót monokl do oka popatrzył na Anglików.

I Best, i Stevens nadal kręcili głowami.

— Nasze propozycje powinny panom odpowiadać — kontynuował Niemiec. — Anglia jest chyba zainteresowana w utrzymaniu pokoju na zachodzie Europy, tymczasem panowie odbierają Niemcom możliwość zagospodarowania wschodniej Europy, nie pozwalając na żadną rekompensatę.

— Jak należy to rozumieć? — zapytał Stevens.

— Uznanie niepodległości Czechosłowacji, a w szczególności Polski, odcina praktycznie Niemcy od możliwości, powiedzmy, zagospodarowania terenów leżących dalej na wschód... — Schellenberg zdjął teraz monokl prawą ręką i de Crinis, z właściwą sobie bystrością, wszedł natychmiast do akcji:

— Chyba że Anglia nie jest w tym zainteresowana...

Stevens popatrzył na Besta. Ten zabębnił palcami po stole.

— Mają panowie wiele racji — odezwał się po chwili. — Uważam osobiście, że trzeba bezwzględnie szukać takich rozwiązań, które mogłyby zaspokoić istotne potrzeby Niemiec, a jednocześnie służyć cywilizacji. Niemniej konieczne jest poinformowanie naszego rządu o postulatach panów.

— Jak pan to sobie wyobraża? — zapytał de Crinis.

Teraz odezwał się Stevens:

— Proponuję wyniki naszej rozmowy zaprotokółować, a ja postaram się przekazać niezwłocznie treść pisma do Londynu.

— Ma pan aż takie możliwości? — z nieudanym zdziwieniem zapytał „kapitan Schaemmel".

Anglik uśmiechnął się tylko, po czym przystąpił bezzwłocznie do sporządzania tekstu. Obaj Niemcy zawzięcie dyskutowali z Anglikami nad formą poszczególnych zdań, nawet gdy dotyczyły one już tak drugorzędnych kwestii jak sprawa wzajemnych stosunków gospodarczych.

Dokument napisano wreszcie i Stevens zniknął. Best, wykorzystując czas, zasypał teraz gości przeróżnymi pytaniami. Większość z nich, co bez trudu odkrył Schellenberg, miała na celu dalsze upewnienie się co do tożsamości Niemców, ale chytrość Anglika nie zdała się na nic, gdyż i de Crinis zrozumiał, w czym rzecz. Trening w Düsseldorfie przynosił teraz dobre rezultaty.

Do powrotu Stevensa minęła godzina. Anglik wszedł do pokoju z zadowoloną miną i bez zbytecznych wstępów oświadczył, że Londyn popiera w pełni porozumienie z niemiecką opozycją.

— Czy uzyskał pan kontakt z rządem Wielkiej Brytanii? — dziwił się nadal „kapitan Schaemmel".

— Właśnie tak. Rozmawiałem z wysoko postawioną osobistością w ministerstwie spraw zagranicznych, a niezależnie od tego omówię nasze rozmowy bezpośrednio z ministrem, lordem Halifaxem.

Schellenberg był przekonany, że Anglik mówi prawdę. Nie wierzył własnemu szczęściu i z góry już sobie wyobrażał minę Heydricha. W tej chwili jednak twarz jego wyrażała tylko przeogromny szacunek, jaki jego zdaniem objawić był winien skromny kapitan Schaemmel na sam dźwięk nazwiska ministra wielkiego mocarstwa.

— Myślę, że pana spotkanie z ministrem... nastąpi niedługo... — wyjąkał.

— Ależ załatwię to jeszcze dziś — zawołał Stevens. — Niedługo mam uzyskać połączenie. W każdym razie decyzję uzyskamy na pewno wieczorem. Przepraszam panów — Stevens zwrócił się do Besta po angielsku, mówiąc o konieczności podpisania przez Niemców oświadczenia w imieniu opozycji niemieckiej. Schellenberg słysząc to, uznał, że wszelkie niebezpieczeństwo jest już za nimi. Czas było na przerwę.

— Rozbolała mnie głowa — powiedział do de Crinisa.

— Za dużo pan pali — zauważył „przedstawiciel kierownictwa opozycji".

— Nie jestem przyzwyczajony do angielskich papierosów, nasze tytonie są gorsze. Czy mogą panowie wskazać mi drogę do łazienki?...

Schellenberg wszedł do umywalni, nucąc pod nosem, jak na kapitana Schaemmela przystało, jakiś wojskowy marsz niemiecki. W duchu śmiał się z sytuacji, odczuwając jednocześnie najgłębszą satysfakcję. To był już prawdziwy triumf, a jeszcze kilka godzin temu wydawało mu się, że stoi przed kompletną klęską.

Odkręcił kran i, odłożywszy monokl, obmył twarz, która miała okazję tego dnia parę razy już pokryć się zimnym potem. Stanąwszy przed lustrem, otarł ją z wody i począł czesać włosy. W tym momencie usłyszał za sobą głos:

— Czy zawsze nosi pan monokl, kapitanie?

Schellenberg zdołał zdobyć się na to, aby odwrócić się bez pośpiechu. Za nim stał Best, który wszedł do łazienki tak cicho, że Schellenberg tego nie zauważył.

— Ach, to pan! — roześmiał się z zadowoleniem stwierdzając, że w swej obecnej pozycji jego twarz pozostaje w cieniu. — Pyta pan o mój monokl? Ciekawe, wie pan, chciałem zapytać pana o to samo, bo u nas to swego rodzaju tradycja, lecz w Anglii monokl nie trafia się często...

— Jestem trochę krótkowidzem — oznajmił Best. — Wracamy?... Mój przyjaciel udał się do telefonu. Zapraszam panów teraz na obiad, chyba już czas...

— Mam nadzieję, że nie pójdziemy do żadnego lokalu — zaniepokoił się „kapitan Schaemmel".

— Oczywiście, nie, rozumiem panów. Udamy się do zupełnie prywatnego mieszkania. Powiedzmy, że jest to mieszkanie jednego z naszych holenderskich przyjaciół...

W willi, w której się niebawem znaleźli, Schellenberg zastał niespodziewanie nie kogo innego, a agenta F-479, którego Best przedstawił po prostu jako pana Schmidta.

— Pan Schmidt jest zapewne panom znany — dodał — choć w rzeczywistości nosi inne nieco nazwisko.

— Domyślam się, kim jest — powiedział z patosem de Crinis. — Dziękuję panu za usługi, które oddał pan ojczyźnie. Wolne Niemcy nie zapomną panu tego.

Schellenberg zastukał obcasami przed szpiegiem. Nie spotkał go uprzednio, ale wystarczająco znał jego fizjonomię ze zdjęć, które udostępnił mu Heinz Jost. Agent wyglądał nieszczególnie, sprawiał nawet wrażenie przestraszonego nieoczekiwanym spotkaniem. Schellenberg usiadł obok niego i gdy Best wyszedł na chwilę, począł strofować go szeptem.

— Siedzę, jak na rozżarzonych węglach — wyznał F-479. — Pan jest tu raptem dzień, a ja parę lat.

— Niech się pan chociaż na ten dzień opanuje, człowieku — syknął sturmbannführer. — Zaręczam panu powrót do Niemiec i to szybko.

Wkrótce podano obiad. Payne-Best uznał za

stosowne ująć na wstępie kielich wina i wznieść toast na cześć gości.

— Obyśmy spotkali się jak najszybciej już po wojnie! — zakończył.

Anglikowi odpowiedział z elegancją de Crinis. „Przywódca opozycji" życzył sobie najgoręcej, aby mógł spotkać angielskich przyjaciół w ambasadzie angielskiej w Berlinie. Widać było, że słowa te sprawiły obu szpiegom przyjemność.

Tuż po obiedzie Stevens zakomunikował, że lord Halifax aprobuje wyniki rozmów i odnosi się życzliwie do postulatów „opozycji". Rząd angielski oczekuje teraz zapowiedzianych wyników jej działalności. De Crinis pochylił z szacunkiem głowę, a Schellenberg stuknął obcasami. Jedynie „herr Schmidt" zachował zastanawiającą powściągliwość, czego Schellenberg długo nie mógł mu wybaczyć. Trudno było jednak teraz choćby wzrokiem go skarcić, gdyż Best nieustannie większość swej uwagi poświęcał obserwowaniu Niemców. Widać było na każdym kroku, że jest to pracownik wywiadu o wielkiej rutynie.

Poobiednią rozmowę przy kawie i koniaku Schellenberg starał się, zgodnie z zaleceniami Heydricha, wykorzystać na skłonienie Anglików do wynurzeń na temat wojny. Udało mu się to o tyle łatwiej, że Best z kolei wiele wypytywał o sytuację w Niemczech.

— Opozycja nasza jest silna i ma za sobą poparcie nie tylko armii — wyjaśniał chętnie. — Niemniej, z drugiej strony, nacisk nazistów na energiczne prowadzenie wojny jest ogromny. Uruchomili oni potężny aparat i mają swoje wpływy także w wojsku. Takie na przykład lotnictwo jest niemal w całości opanowane przez nich. Jest to potężna siła. Gdyby doszło do dalszej walki, której tak się przeciwstawiamy, Francja poniesie klęskę, a możliwa jest także nawet inwazja Anglii...

— Wypowiedzenie wojny Niemcom było dużym i chyba niepotrzebnym ryzykiem ze strony Anglii — mówił de Crinis. — Istniały inne możliwości zapobieżenia złu, choćby wcześniejsze nawiązanie kontaktu z opozycją antynazistowską...

Schellenberg pochwalił w myśli przyjaciela i bacznie nastawił uszu. Nie łudził się co prawda, że Anglicy zbyt szybko wyjawią swe istniejące w przeszłości kontakty w Niemczech, jednakże trzeba było być przygotowanym w każdej chwili na uchwycenie jakiegokolwiek tropu.

Ale ani Stevens, ani Best nie nawiązali do ostatnich słów „czołowego opozycjonisty". Obaj natomiast zapewnili, że jeśli Niemcy uderzą na Anglię, Anglia nie pójdzie na najmniejsze wobec nich ustępstwo.

— A gdyby Hitlerowi udało się zająć wyspy brytyjskie?... Wspominam o tym — zastrzegł się de Crinis — tylko dlatego, że awanturnik ten gotów jest do wszystkiego i przy szczęśliwym dla niego zbiegu okoliczności nie ma właściwie rzeczy niemożliwych...

Best odpowiedział poważnie:

— Walka będzie prowadzona przez całe imperium. W przypadku zajęcia metropolii walczyć będą nadal pozostałe kraje Wspólnoty. Rząd może się przenieść na przykład do Kanady. Ale walka

nie ustanie. Dla Hitlera byłoby doprawdy lepiej, gdyby zwrócił swe zapędy w innym kierunku...

Tego rodzaju aluzje Schellenberg zapamiętał sobie dobrze, ale wiedział też, że Hitler jest już zbyt zdecydowany na rozpoczęcie działań na zachodzie, aby miał się przed czymś powstrzymać. Zdając sobie sprawę, że jego angielscy rozmówcy byli ludźmi doskonale poinformowanymi, pragnął wykorzystać okazję i wysondować różne ich opinie. Napomknął o Francji. Ciekaw był stanowiska Besta i Stevensa w tej materii, tym bardziej że problem francuski wysuwał się obecnie na pierwszy plan.

— Trudno przesądzić wyniki działań. Armia francuska jest zbyt potężna, aby uległa szybko — mówił Best — ale jeśli Niemcy dojdą rzeczywiście do kanału La Manche, to kto da nam gwarancję, że tam się ostatecznie zatrzymają? Hitler nie dotrzymuje żadnych dosłownie przyrzeczeń. Dlatego w interesie Anglii leży udzielenie pomocy Niemcom w odrodzeniu ich realistycznej polityki, także w sensie umożliwienia im zdobycia niezbędnej przestrzeni życiowej, znajdującej się na historycznym szlaku ich ekspansji, na wschodzie. W przypadku jednak ataku na Francję, Wielka Brytania będzie musiała udzielić jej maksymalnego poparcia politycznego i militarnego. Nasze granice — Best zawiesił na moment głos — znajdują się w istocie nad Renem.

Schellenberg zastanowił się. Czy ich zdemaskowanie jako agentów niemieckiego wywiadu przyniosłoby teraz korzyść Anglikom? A może uznali oni, że właśnie tacy agenci stanowić będą najlepszą drogę poinformowania rządu Hitlera o rzeczywistych poglądach rządu brytyjskiego? To, na co nie mógł sobie pozwolić w oficjalnym wystąpieniu ani Chamberlain, ani żaden z członków gabinetu, tutaj stawało się bez przeszkód przedmiotem wymiany zdań. Ta myśl długo nie dawała mu spokoju, dalsze jednak zachowanie Anglików rozwiało jego wątpliwości. Wieczorem obaj Niemcy podpisali oświadczenie w imieniu antyhitlerowskiej opozycji, którą tak umiejętnie reprezentowali, następnego zaś dnia znaleźli się znów w „Banku Handlowym", gdzie otrzymali od Stevensa radiostację nadawczą wraz z szyfrem, za pomocą którego „opozycja" utrzymywać miała łączność z ekspozyturą angielskiego wywiadu w Hadze. Ponadto porucznik Coppens vel Copper wręczył obu hitlerowcom specjalne zaświadczenia, które gwarantowały im opiekę i pomoc policji holenderskiej. Utwierdziło to Schellenberga w przekonaniu, że porucznik nie jest Anglikiem, lecz Holendrem.

Obaj Niemcy starali się zachowywać poprawnie nie tylko wówczas, gdy przebywali z Anglikami, lecz także wtedy, gdy gospodarze pozostawiali ich samych. Schellenberg był pewien, że ich rozmowy podsłuchiwano, nie mógł sobie więc przy tej okazji odmówić przyjemności utyskiwania na angielskie wady narodowe, z których na pierwszym miejscu wymieniał tradycyjną już perfidię oraz wyrachowanie. Jego przyjaciel sekundował mu dzielnie.

— Anglikom dobrze by nawet zrobiło, gdyby odczuli raz wreszcie skutki wojny na swej wys-

pie — mówił możliwie głośno, aby był wyraźnie słyszany przez ukryte mikrofony. — Pogardzam Hitlerem, ale niekiedy ze smutkiem muszę przyznać mu rację.

— Przy obecnym rozwoju techniki lotniczej — sekundował Schellenberg — ta cała osławiona angielska *splendid isolation* jest mitem. Myślę też, że zwartość Imperium Brytyjskiego jest dość problematyczna. Istnieją w nim wyraźne tendencje odśrodkowe. Weźmy taki Egipt czy też Afganistan...

— Pan się pomylił, kapitanie — z dezaprobatą rzekł de Crinis. — Afganistan nie należy do Imperium Brytyjskiego.

— Nie? — zdziwił się „kapitan Schaemmel", wstrzymując śmiech. — Byłem o tym przekonany...

Prezenty, jakimi obdarowali Anglicy hitlerowskich szpiegów, były między innymi wynikiem takich właśnie rozmów, które dłuższy czas prowadzili oni w gościnnych pokojach ustronnej willi w Hadze.

„Przedstawiciele opozycji" serdecznie żegnali swych angielskich przyjaciół, opuszczając ich 31 października w południe. Mieli im wiele do zawdzięczenia. Choć Schellenberg nie uzyskał wprawdzie tych efektów, jakie Heydrichowi leżały aktualnie przede wszystkim na sercu, wprost znad granicy ruszył do Berlina, aby zdać swemu szefowi relację z wyprawy.

Heydrich pochwalił podwładnego, ale jego propozycję dotarcia z pomocą Besta i Stevensa bezpośrednio do Londynu przyjął z rezerwą.

— Czy oni to panu proponowali? — zapytał.

— Napomykali o takiej możliwości.

— Podziwiam pańską zdolność do ryzyka, myślę jednak, że bezpieczniej dla pana byłoby, gdyby spotkał się pan z tymi Anglikami nie w Londynie, lecz w Berlinie.

Schellenberg wzruszył ramionami.

— Tutaj nie pojawiają się oni z pewnością, gruppenführerze.

— Jest pan tego aż tak pewien? — Heydrich spojrzał na Schellenberga z charakterystycznym dla siebie ironicznym uśmieszkiem. — A jak ten pański przyjaciel? Wchodzi on jeszcze w grę?

— Raczej nie — odparł strumbannführer. — Był doskonały, ale dałem Anglikom coś w rodzaju przyrzeczenia, że następnym razem skontaktuję ich już z generałem, samym przywódcą naszej grupy. Zastanawiam się właśnie nad kimś odpowiednim, z kim ewentualnie mógłbym wyruszyć do Londynu. To musi być człowiek związany z wojskiem. I Best, i Stevens wyglądają na znających się na rzeczy, drobne potknięcie może zepsuć wszystko.

Heydrich zezwolił w końcu na kontynuowanie londyńskiej koncepcji Schellenberga, polecił jednak czynić to ostrożnie i oczekiwać decyzji, którą wydać miał sam Hitler. Sturmbannführer powrócił do Düsseldorfu po to przede wszystkim, aby wypróbować radiostację. Anglicy potwierdzili odbiór natychmiast, a w dniach następnych zgłaszali się kilka razy sami. Rozmowy były krótkie i dotyczyły przede wszystkim terminu na-

stępnego spotkania, na które Schellenberg się zdecydował. Na umówione miejsce wyruszył 7 listopada.

Pogoda tego dnia bynajmniej nie sprzyjała samochodowej wycieczce. Schellenberg klął w żywy kamień deszcz, który znacznie utrudnił warunki jazdy.

Ale generał Halder tenże deszcz błogosławił. Warunki atmosferyczne w przewidywanym obszarze operacyjnym pogorszyły się do tego stopnia, że rozpoczęcie ofensywy w dniu 12 listopada stało się niemożliwe. W Kancelarii Rzeszy doszło tego dnia do nowego wybuchu złości führera. Tym razem zwracała się ona jednakże tylko przeciwko meteorologom wojsk lądowych. Ale wezwani naprędce meteorologowie lotnictwa potwierdzili złą prognozę i Hitler, nie wstrzymując marszu w rejony pogotowia, przesunął termin uderzenia o trzy dni. Nawet ta drobna zwłoka uradowała generałów, którzy tym tylko różnili się od Hitlera w swych poglądach na wojnę z Francją, że chcieli ją pokonać „na pewniaka", mając gwarancję, iż zwycięstwo uzyskają możliwie szybko. Nie wiedzieli wówczas jeszcze, że termin ataku Hitler przełoży jeszcze siedemnaście razy i zadecyduje o tym nie co innego, a właśnie pogoda.

Dla Schellenberga termin ofensywy był najzupełniej obojętny. W grę z angielskim wywiadem wciągnął się tak dalece, że wszystko inne stało się dlań mało istotne. Widział się już w Londynie, w samej jaskini lwa, jak doprowadza do kombinacji, mogących ostatecznie zachwiać całym angielskim rządem. Czym dłużej nad tym rozmy-

ślał, tym bardziej podniecała go jego niepohamowana ambicja.

„Kapitan Schaemmel" spotkał się tym razem z Bestem i Stevensem w małej kawiarni w Venlo, przygranicznym mieście holenderskim. Zwłokę tłumaczył koniecznością dłuższego pobytu w Berlinie, spowodowanego tak obowiązkami służbowymi, jak rozmowami z członkami „opozycji". Rozmowy te były, jak oświadczył, do tego stopnia owocne, że jeden z generałów wyraził zgodę na wyjazd do Londynu w celu nawiązania bezpośrednich kontaktów z rządem brytyjskim.

Obaj Anglicy powitali propozycję z nie ukrywanym zadowoleniem.

— Wizyta generała nie może jednak trwać długo — wyjaśnił „Schaemmel". — Dłuższa nieobecność zarówno jego, jak i moja, może wywołać podejrzenia.

— Przygotujemy specjalny samolot — zapewnił Stevens. — Panowie dostaną się autem do Amsterdamu, a stamtąd już za godzinę będą w Londynie.

— Kiedy może być gotów ten samolot?

— Nawet jutro.

„Schaemmel" ucieszył się i począł wychwalać angielską organizację. Niezadługo znalazł się z powrotem w Düsseldorfie, skąd połączył się telefonicznie z Heydrichem. Ponury głos szefa pohamował jednak Schellenberga w zapale.

— Führer, czytając pańskie sprawozdanie, nie był zadowolony z niektórych dotyczących go określeń, jakich użył pan w rozmowach — mówił Heydrich. — Pan się za daleko posuwa, Schellen-

berg. Kto wie, czy führer teraz nie rozkaże w ogóle przerwać tych rozmów.

— Co mam robić?

— Czekać — uciął krótko Heydrich.

Gruppenführerowi Heydrichowi nagabywania Schellenberga w sytuacji, w której się znalazł w wyniku niedawnej nocnej rozmowy z Himmlerem, mogły tylko przeszkadzać. Obecnie musiał skoncentrować się niemal wyłącznie na nadzwyczajnym zadaniu, jakie mu powierzono. Było ono bardzo pilne i szczególne nawet w niezwykłej karierze Heydricha, urodzonego intryganta i przestępcy. Sprawa angielskich szpiegów musiała siłą rzeczy zejść na razie na dalszy plan.

Schellenbergowi nie pozostało nic innego, jak natychmiast powiadomić Anglików o tym, że umówione na 8 listopada spotkanie napotyka trudności, jednakże w najgorszym przypadku przybędzie na nie sam. Miał nadzieję, iż znajdzie jakiś wybieg, który pozwoli na zwłokę aż do czasu, póki — jak mówił Heydrich — Hitler nie podejmie decyzji. Dysponując wolnym czasem, odwiedził kilku swych düsseldorfskich znajomych, zastanawiając się, którego z nich wybrać do odegrania trudnej roli generała Wehrmachtu. Mimo wszystko bowiem liczył na pozytywne dla siebie rozstrzygnięcie w Berlinie.

Obudziwszy się 8 listopada, sturmbannführer kazał, jak zwykle, przynieść sobie gazety. Już z pierwszej z nich, „Völkischer Beobachter", dowiedział się, że poprzedniego dnia król belgijski, Leopold, i królowa holenderska, Wilhelmina, wystosowali do rządów Niemiec, Francji i Anglii

wspólny apel, w którym oferowali swe usługi dla pośredniczenia w rokowaniach pokojowych.

„W tej ciężkiej i decydującej dla całego świata godzinie — czytał — doszliśmy do przekonania, że jest naszym obowiązkiem podnieść powtórnie nasz głos..."

Wiadomość o tej misji „dobrych usług" poruszyła Schellenberga. Bezzwłocznie połączył się z Berlinem, ale nie zastał tam ani Heydricha, ani Himmlera, nikt też w RSHA nie mógł mu powiedzieć, kiedy policyjni potentaci hitlerowskiej Rzeszy zjawią się u siebie na powrót. Szpieg znalazł się w rozterce i po dłuższym dopiero namyśle doszedł do wniosku, że najrozsądniejszym wyjściem będzie zakomunikowanie Anglikom, że „opozycja" oczekuje reakcji Hitlera na propozycje króla i królowej, która nastąpi najpewniej tegoż jeszcze dnia, w czasie przemówienia w 26 rocznicę nazistowskiego puczu w Monachium. Nieobecność generała postanowił tłumaczyć ponadto jego lekką chorobą, zapewniając jednocześnie o jego niezmiennych chęciach przeprowadzenia rozmów w Londynie.

W południe wyruszył do Venlo i dotarł na umówione miejsce bez przeszkód. Tym razem jednak oczekiwał na Anglików prawie godzinę. Zniecierpliwiony sturmbannführer miał za to w tym czasie okazję oglądania kilku osobników, którzy przypatrywali mu się z mało dyskretną ciekawością, a których same oblicza wymownie świadczyły, jakim zawodem osobnicy ci się parają. Znany Schellenbergowi z poprzednich emocji dreszczyk pojawił się znów.

Wreszcie Best i Stevens, a wraz z nimi Coppens, stanęli w drzwiach, próba się zakończyła. Z uczuciem ulgi Niemiec witał przybyszów, rozmyślając nad dolami i niedolami szpiegowskiej profesji.

Schellenberg wytłumaczył nieobecność „generała" i nawiązał do deklaracji belgijsko-holenderskiej, zapowiadając wystąpienie Hitlera i zapytując o spodziewaną reakcję rządu angielskiego. Best odparł, że na apel monarchów odpowiedział już król Jerzy, stwierdzając, że rząd angielski rozpatrzy wnikliwie każdą niemiecką propozycję. Wypadało z tego wnioskować, że Anglia skłonna będzie do ustępstw i Schellenberg pomyślał, że jest w tym z pewnością spory jego udział. Sprawa pokoju i wojny leżała teraz wyłącznie w ręku Hitlera.

Best powrócił do sprawy generała, przywódcy opozycji. Anglik proponował, aby osobistość tę powitał jeszcze na terenie Holandii wyższy urzędnik Foreign Office, który przybyłby specjalnie w tym celu do Hagi. Konieczne jednak byłoby uprzednie zaawizowanie Londynowi, o kogo konkretnie chodzi.

— Rozumiemy, że musi pan być dyskretny, daliśmy jednak dowody, w oparciu o które może pan żywić do nas pewne, jeśli nie całkowite, zaufanie — mówił Best.

Schellenberg poczuł, że nadeszła właściwa chwila.

— Ciekaw jestem panów opinii — odpowiedział po namyśle. — Odniosłem wrażenie z naszych rozmów, że panowie są względnie dobrze zorientowani w sytuacji w Niemczech. Zróbmy

małą próbę. Proszę wymienić parę nazwisk ludzi, na których rząd angielski ewentualnie liczy.

Payne-Best zaciągnął się długo papierosem, jego towarzysze milczeli.

— Nasz rząd — odezwał się wreszcie — liczy na każdego, który przyczyni się do powstrzymania Hitlera w marszu na zachód.

Schellenberg fizycznie prawie odczuł napięcie, które zapanowało przy stoliku. Struny dłużej przeciągać nie było wolno.

— Stara się pan być powściągliwy — powiedział tonem wyrzutu. — Dobrze, niech i tak będzie. Otóż powiem panom szczerze: przybyć ma tutaj generał von Rundstedt.

Anglicy starali się teraz o zachowanie spokoju, a Schellenberg umiał to dostrzec. Nazwisko Rundstedta zrobiło wrażenie, choć generał ten, aktualnie dowódca Grupy Armii „A", w przewidywaniach Heydricha stał jak najdalej od potencjalnych „opozycjonistów". Ale właśnie dlatego szpieg wymienił jego osobę.

— Oczywiście — zastrzegł się na zakończenie rozmowy — generał może jeszcze jutro nie przybyć osobiście, choć jest to raczej pewne. Jeśli nie przybędzie, przyśle swego najbliższego współpracownika.

— Kogo? Może pan to powiedzieć? — zainteresował się teraz Stevens.

Schellenberg odparł szorstko:

— Myślę, że już powiedziałem nieco za wiele. Nie byłem do tego wcale upoważniony, proszę mi wierzyć. Jeśli tak postąpiłem, to dlatego tylko, że żywię do panów naprawdę szczere zaufanie.

Niemiec zdążył dostrzec błyski życzliwości w oczach Besta; to był dobry znak, wieńczący trudne godziny.

— Więc do jutra, między pierwszą a drugą!

Szpiedzy rozstali się, ściskając sobie mocno dłonie.

Przybywszy do Düsseldorfu, Schellenberg spotkał się ze sturmbannführerem Alfredem Naujocksem, który przed paru dniami przybył z Berlina. Heydrich polecił mu zadanie ochrony osoby Schellenberga, udzielając specjalnych pełnomocnictw, i Naujocks, człowiek o wyglądzie zawodowego bandyty, nie omieszkał wyznać Schellenbergowi, że w żadnym wypadku nie dopuściłby do tego, aby wpadł on w ręce Anglików.

— A jeśli by mnie porwali siłą, samochodem? — zapytał Schellenberg, ciekaw reakcji zabijaki, który miał już za sobą i taki wyczyn, jak sfingowany krwawy napad na radiostację w Gliwicach w przeddzień wybuchu wojny z Polską.

— Zrobiłbym z tego samochodu puszkę sardynek — wyznał bez żenady Naujocks.

Schellenberg pomyślał, że w takim przypadku byłby z pewnością jedną z owych sardynek. Rozkaz nieoddawania go żywym Anglikom Naujocks pojmował dosłownie, zresztą Schellenberg nie łudził się, by Heydrich, w razie groźby kompromitacji, liczył się z jego życiem.

— Czy pańscy ludzie przeszli dziś za mną granicę? — zapytał.

— Rzecz jasna! — zawołał Naujocks. — Nie odchodzą od pana na krok.

Teraz Schellenberg wiedział, komu ma zawdzięczać swe przeżycia w Venlo. Zdenerwował się.

— Niech im pan powie, na litość boską, żeby mi tylko nie deptali po piętach, bo zacznę do nich strzelać. Przecież to niedźwiedzie, a nie wywiadowcy. Omal nie przepłoszyli Anglików i nasłali mi na kark tuzin holenderskich szpicli.

Naujocks machnął ręką lekceważąco.

— Ech, Holendrzy! Niechby tylko zaczęli...

Schellenberg z trudem opędził się uczuciu rezygnacji. Z takim indywiduum jak Naujocks można było dokonywać napadów, ale nie prowadzić subtelnej gry.

Nad wieczorem złożył wizytę pewnemu znajomemu przemysłowcowi, który należał do SS i wywierał wystarczająco dobre wrażenie, aby mógł udawać zapowiedzianego Anglikom najbliższego współpracownika Rundstedta. Gospodarz wysłuchał propozycji z dużym wahaniem i dopiero gdy sturmbannführer powołał się na samego Heydricha, jego opory rozwiały się wreszcie. Choć wyjazd do Londynu z tego pokroju człowiekiem nie wchodził już w rachubę, na omówieniu szczegółów spotkania spędzili obaj czas aż do nocy. Schellenberg nie miał nawet czasu, aby wysłuchać przemówienia Hitlera w Monachium, które sam tak gorliwie polecał Anglikom. Zdążył się tylko dowiedzieć, że Hitler nie tylko nie przedstawił żadnych propozycji, ale w ogóle nie zamierza ich nikomu przedkładać. Ministerstwo spraw zagranicznych zdążyło już powiadomić nagabujących je posłów holenderskiego i belgijskiego, że „führer i kanclerz Rzeszy znajduje się w po-

dróżach i nie można go osiągnąć". Nie potrzeba było znać języka dyplomacji, aby odpowiedź taką uznać za równoznaczną z odmową. Dla Schellenberga stanowisko takie stwarzało nawet dogodniejszą sytuację. Anglicy musieli teraz zabiegać usilniej o względy opozycji, skoro Hitler czując ich słabość nie chciał z nimi pertraktować, przynajmniej przed rozbiciem Francji.

Obersturmbannführer Schellenberg mógł powiedzieć o przeżytym dniu, że był to dzień bardzo pracowity. Należał mu się teraz zasłużony nocny odpoczynek.

Ale ten odpoczynek nie nastąpił.

Ledwie Walter Schellenberg przyłożył głowę do poduszki odezwał się telefon. Po znajomym dźwięku rozpoznał dzwonek aparatu połączonego bezpośrednio z Berlinem i uniósł się z łóżka.

— *Bitte* — rzucił w słuchawkę, spodziewając się usłyszeć Heydricha, ale ku jego zdziwieniu głos, który się odezwał, należał do innej osoby. Był niski i — jak się Schellenbergowi wydało — podniecony.

— Co pan mówi? — wołał ktoś w Berlinie.

— Na razie nic nie mówię — odkrzyknął szpieg. — A z kim w ogóle mówię?

Głos w słuchawce podniósł się o kilka tonów:

— Tu reichsführer SS Heinrich Himmler. Czy to wreszcie jest Schellenberg?

Sturmbannführer zerwał się na równe nogi.

— *Jawohl, reichsführer!* Tutaj Schellenberg!

— Niech pan teraz dobrze słucha. Czy słyszy mnie pan dobrze?

Schellenberg potwierdził.

— Czy wie pan, co się dziś stało?

— Nie, nie słyszałem o niczym nadzwyczajnym.

— Teraz się pan dowie — ciągnął Himmler. — Dzisiaj wieczorem w Bürgerbräukeller w Monachium usiłowano dokonać na führera zamachu. — Schellenberg osłupiał. — Podłożono bombę, ale wybuchła ona już po wyjściu führera. Jest kilku zabitych, wielu rannych. Słyszy pan? Ten zamach, Schellenberg, jest sprawką angielskiego wywiadu. Tak. Führer i ja otrzymaliśmy wiadomość o wybuchu, gdy wsiadaliśmy do pociągu. Niezwłocznie ustaliłem pewne szczegóły i powtarzam panu, że jest to robota angielskich szpiegów. Słucha pan? Führer rozkazał, to jego rozkaz osobisty, rozumie pan, aby pan najszybciej, jak się da, zaaresztował tych szpiegów angielskich, z którymi pan się spotyka. Ma pan ich przywieźć do Niemiec, do Berlina. Zrozumiał pan? Co pan mówi? Naruszenie granicy? Tak, naruszenie granicy siłą, lecz to nie ma znaczenia, tak uważa führer. Dość! — krzyknął Himmler, bo Schellenberg usiłował znów przerwać ten potok słów. — Niech pan słucha, mam mało czasu. Zadanie to wykona pan z ludźmi Naujocksa, tak, z tym oddziałem SS, który pan podobno lekceważy. Czy zrozumiał pan wszystko?

— Tak — wybąkał Schellenberg — ale...

Himmler przerwał mu:

— Tutaj nie ma żadnego „ale", to rozkaz führera, który ma pan wykonać. Zrozumiał pan?

— Tak jest, reichsführer, zrozumiałem — odrzekł Schellenberg, doszedłszy do wniosku, że wszelkie perswazje nie zdadzą się na nic.

— Co ma pan teraz do powiedzenia, proszę mówić szybko, nie mam czasu.

Schellenberg z trudnością zbierał myśli.

— Zastanawiam się, czy akcja da te rezultaty, o które nam chodzi...

— Schellenberg! Przywołuję pana raz jeszcze do porządku. Gdy pan prowadził sobie grzeczne rozmowy z angielskimi agentami, oni zorganizowali zamach na führera, Bóg wie z czyją pomocą. I pan się jeszcze zastanawia? Niech pan natychmiast, powtarzam: natychmiast przystąpi do akcji. Jutro Anglicy mają być w Berlinie.

— *Jawohl, reichsführer!*

Rozmowa zakończyła się. Za pół godziny wszedł do pokoju Schellenberga wezwany przezeń Naujocks. Towarzyszył mu jego zastępca, obersturmführer Kurt Becher.

Schellenberg pomyślał: ci teraz dopiero pokażą, co potrafią.

IV. PIEKIELNA MASZYNA

Komisarz gestapo nerwowo przerzucił leżące na biurku dokumenty.

— Nazywasz się więc Elser, Georg Elser? — zapytał po raz któryś już z rzędu szczupłego i niskiego człowieka, stojącego na środku pokoju.

— Tak jest.

— I ty podłożyłeś bombę w Bürgerbräukeller?

— Tak, ja podłożyłem tę bombę.

— Chciałeś zabić führera?

— Tak jest, chciałem zabić Adolfa Hitlera.

Komisarz sapnął, spojrzał po twarzach otaczających go gestapowców, jak gdyby brał ich za świadków, że nie on wyrzekł te słowa, i znów rzucił pytanie:

— Po co chciałeś przejść do Szwajcarii?

Na twarzy badanego pojawiło się zdziwienie.

— Chciałem tam uciec.

— Chciałeś uciec do Szwajcarii i straży granicznej pokazałeś fotografię. Od kiedy to na granicy pokazuje się fotografie i to takie fotografie?

— Pomyliłem się. Chciałem pokazać przepustkę, a w ręku znalazła mi się ta fotografia.

Widać było, że gestapowiec z trudnością panuje nad nerwami. Chyba z minutę wpatrywał się w więźnia przekrwionymi oczami.

— Weźcie go do jakiejś pojedynki — rzekł wreszcie zduszonym głosem. — Już ja znajdę mimo wszystko czas dla ciebie — pogroził Elserowi pięścią — i pokażę ci, co to znaczy robić sobie z nas żarty. Precz z tą świnią!

Gdy dwóch drabów wywlokło natychmiast Elsera za drzwi, komisarz popatrzył wymownie na swych kolegów.

— Sądziłem początkowo — powiedział — że chce nas wyprowadzić w pole i osłonić kogoś innego, ale teraz wiem już z pewnością, że jest to zwykły wariat.

Georg Elser nie był jednak wariatem, za jakiego wziął go komisarz monachijskiego gestapo. Komisarz, podobnie jak wszelacy agenci i szpicle w całym Monachium, ledwie trzymał się na nogach. Od wieczora poprzedniego dnia, ściślej mó-

wiąc od chwili gdy w starej piwiarni wybuchła bomba, w bawarskiej stolicy zapanował stan alarmu. Kto był tylko żyw, a miał do czynienia ze służbą policyjną, postawiony został na równe nogi. W samej piwiarni szalał z wściekłości gauleiter Monachium, Adolf Wagner, i mieszając rozkazy z przekleństwami, wzywał urzędników policji do natychmiastowego ujęcia przestępców, którzy chcieli odebrać życie wielkiemu führerowi.

Przez całą noc trwało uporczywe śledztwo. W jego trakcie doniesiono, że na granicy szwajcarskiej straż graniczna zatrzymała jakiegoś człowieka, który z najniewinniejszą w świecie miną okazał zamiast dokumentów pocztówkową fotografię wnętrza Bürgerbräukeller z nakreślonym na niej krzyżykiem. Gestapowcy uznali to za dowcip, ale niebawem ujrzeli na własne oczy przytransportowanego co rychlej przestępcę wraz z dowodem jego winy: krzyżyk na pocztówce nakreślony był na tej samej kolumnie, w której eksplodowała bomba. Mizerny ten człowiek miał na domiar złego wpięty w klapę marynarki znaczek „Rotfrontu", dawno zlikwidowanej już organizacji prokomunistycznej.

Niezwłocznie rozpoczęto przesłuchiwanie. Podejrzany nie okazywał lęku i dawał stale jedne i te same odpowiedzi. Podłożył bombę z nienawiści do Hitlera, w przygotowaniu zamachu pomogli mu jacyś dwaj nieznani osobnicy. Po przekonaniu się, że Hitler przybył do Monachium, wyruszył ku granicy szwajcarskiej, ale fatalna pomyłka z fotografią nie pozwoliła mu ujść.

Człek ten zachowywał się tak dziwnie, a jedno-

cześnie jego zeznania brzmiały tak fantastycznie, że przesłuchujący go funkcjonariusze gestapo uznawali go jeden po drugim za wariata.

Georg Elser nie był jednak wariatem.

Dawno już minął rok od chwili, gdy w monachijskim mieszkaniu Elsera zjawił się nieznany mu mężczyzna, który wyjaśnił powód swej wizyty dopiero po dłuższym wstępie. Wstęp ten dotyczył w głównej mierze zainteresowań Elsera i jego warunków bytowych. Z pewnych wypowiedzi nieznajomego Elser zorientował się rychło, że wie on o nim bardzo dużo, więcej nawet, niż Elser mógł przypuszczać. Jego „opiekun" z monachijskiej SD zapewniał go przecież wielokrotnie, że o jego z nim kontakcie nie dowie się nigdy nikt. Elser był bowiem z zawodu stolarzem, znał się na elektrotechnice, parał się wszelkim majsterkowaniem, ale prócz tego zajmował się od pewnego czasu donosicielstwem na rzecz hitlerowskiej służby bezpieczeństwa, przy czym, zgodnie z wytycznymi „opiekuna", zajmowali go przede wszystkim członkowie partii hitlerowskiej, a w szczególności ich życie prywatne. Z racji swej profesji miał okazję do odwiedzania ich samych, tudzież ich sąsiadów, zebrane zaś wiadomości przekazywał dyskretnie spotykanemu niby przypadkiem, lecz regularnie, pracownikowi najbardziej tajnej ze wszystkich służb hitlerowskiego aparatu policyjnego. Uzyskiwane za te czynności dochody wzmacniały budżet Elsera, z czasem więc coraz mniej zajmował się on naprawą mebli oraz usuwaniem uszkodzeń w żyrandolach i aparatach radiowych, coraz więcej zaś węszeniem za nielo-

jalnością NSDAP-owców, a w miarę wolnego czasu rozmyślaniami nad przeróżnymi pomysłami technicznymi; Elser miał duszę wynalazcy i marzył o tym, aby kiedyś jakieś jego dzieło rozsławiło go na całe Niemcy i Europę.

Nieznajomy mężczyzna w szarym, skórzanym płaszczu o wszystkim tym zdawał się wiedzieć i Elser doznawał w czasie wymiany zdań przeróżnych dziwnych uczuć. Z kolei rozmowa przeszła na tematy polityczne i sprowokowany pytaniem gościa Elser oświadczył zdecydowanie, że jedynie Adolf Hitler zdolny jest poprowadzić Niemcy i Niemców ku potędze i dobrobytowi. Tego samego zdania był także jego rozmówca, który z kolei długo mówił o roli führera w dziele budowania nowej, tysiącletniej Rzeszy.

— Niestety — powiedział w zakończeniu swego wywodu — führer ma także wielu wrogów. Wie pan zresztą o tym, panie Elser, jak potrafią się oni ukrywać, jakie maski przybierać. Niektórzy z nich znajdują się nawet na wysokich stanowiskach. Cóż będę krył: wielu z generałów, których właśnie führer wyniósł do znacznych godności, nie sprzyja mu, nawet przeszkadza, gdy tymczasem cały naród oddaje wszystkie swe siły dla ojczyzny. To szkodnicy nikczemni, nieprawda, panie Elser?

Elser zgodził się z tym skwapliwie, dał jednakże wyraz swemu zdziwieniu, że führer nikczemnych szkodników toleruje.

— Różne na to wpływają powody — odrzekł gość. — Skoro jednak oni walczą przeciw führerowi, naszym obowiązkiem jest walka przeciwko nim. Jeśli oni walczą podstępnymi metodami, my odpowiedzmy tym samym.

Nieznajomy podniósł się z krzesła i stanął przed Elserem.

— Panie Elser! Przekonałem się, że można mieć do pana zaufanie. Chcę, aby pan miał zaufanie również do mnie. Nie powiem panu, kim jestem, to nie jest istotne. Dowie się pan zresztą o tym we właściwym czasie, wkrótce pozna mnie pan bliżej. Teraz powiem panu tylko, że został pan wyznaczony do wykonania specjalnego zadania. Czy pan wie, kto to jest Otto Strasser?

Elser spojrzał niezdecydowanie na mężczyznę. O Ottonie Strasserze słyszał i czytał sporo. Wiedział, że usiłował on za granicą stworzyć konkurencyjną wobec NSDAP partię nazwaną tajemniczym mianem „Czarny Front". Brat Ottona, Gregor Strasser, który pozostał w Niemczech, wierząc, że jego osobisty przyjaciel Hitler, nie wyrządzi mu krzywdy, został właśnie na rozkaz Hitlera zamordowany w roku 1934 podobno przez samego Heydricha. O wszystkim tym Elser wiedział, nie wiedział wszakże, jak zareagować na słowa nieznajomego.

Ten dostrzegł wahanie gospodarza.

— Z pewnością pan słyszał o tym łotrze, zdrajcy i kłamcy — odpowiedział sam na swe pytanie. — Otóż sprzedał się on wrogom całkowicie i chce, niech pan teraz słucha, dokonać zamachu na führera. Pomoc w tym haniebnym dziele okazuje mu parę świń z generalskimi szlifami, a także komuniści — głos mówiącego drgał oburzeniem. — Jeden zamach już udaremniliśmy,

mamy jednak wiadomości, że gotuje się drugi. To trzeba raz na zawsze ukrócić, a zdrajcy muszą ponieść karę.

— Tak! — zawołał Elser. — Trzeba natychmiast zamknąć wszystkie te świńskie psy!

Nieznajomy zamachał ręką przed oczami gospodarza.

— O nie, nie w ten sposób! Poniosą oni inną karę, a jaką, dowie się pan wkrótce. Jest możliwe, że pan im tę karę wymierzy, właśnie pan, Elser. Stanie się pan mścicielem führera i narodu niemieckiego. Pan docenia ten zaszczyt?

Elser zaszczyt doceniał, zastanawiał się tylko nad rolą, jaką miał odegrać w całym przedsięwzięciu. Ale tym razem nieznajomy tego nie wyjaśnił. Zabierając się do odejścia, zapowiedział ponowne przybycie, którego termin obaj natychmiast uzgodnili.

— Co mam jednak dalej robić — radził się na pożegnanie Elser — z... panem, z którym... hm... współpracuję...

— Niech pana o to głowa nie boli. Jeśli go pan gdzieś spotka, niech pan rozmawia z nim, o czym pan chce, z wyjątkiem tego, co wspominaliśmy dzisiaj. Panie Elser, pan może sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby komukolwiek wspomniał pan o tym, o czym mówiliśmy? Pan sobie to wyobraża?

Mężczyzna spojrzał na Elsera wzrokiem, który po prostu mroził krew. Stolarz z trudnością przełknął ślinę.

— A więc nikomu pary z gęby, Elser. Nikomu, choćby to był nawet — nieznajomy zawiesił na chwilę głos — sam führer!

Tak oto cichy majster od wszystkiego z niewyżytymi ambicjami wynalazcy, tudzież cichy V-man monachijskiego SD, został posiadaczem tajemnicy, o której nie śmiał wiedzieć nikt w całym hitlerowskim państwie. Niebawem miał odbyć swe zwykłe spotkanie ze „znajomym" z dyrekcji policji i na wszelki wypadek poszedł na nie. „Znajomy" nie przybył, a gdy później już, któregoś popołudnia, zobaczył go na ulicy, tamten, ledwie rzuciwszy okiem na Elsera, przeszedł obok bez słowa.

Za to nieznajomy mężczyzna w skórzanym płaszczu przybył w oznaczonym dniu i oznaczonej godzinie. Znów rozwinęła się rozmowa, której tematem tym razem była elektrotechnika. Elser starał się przedstawić swe umiejętności w tej dziedzinie i rzeczywiście miał ich sporo. Między innymi zademonstrował gościowi istotnie ciekawe urządzenie alarmowe, które skonstruował w rzadkich ostatnio chwilach natchnienia.

— Sam pan to zrobił? — indagował nieznajomy.

— Mój panie — westchnął Elser — gdybym miał pieniądze, zrobiłbym nie takie rzeczy.

Gość potraktował te słowa jako aluzję i Elser wzbogacił się tego dnia o całe sto marek, co znacznie zwiększyło jego szacunek do nieznajomego i entuzjazm dla pracy, którą on reprezentował. Co prawda musiał pokwitować odbiór pieniędzy, przyzwyczajony był już wszakże do drobnej tej formalności.

Poza tym mężczyzna pozostawił Elserowi celem

przestudiowania broszurę pod tytułem „Wandlungen unseres Kampfes" *, której autorem był Reinhardt Heydrich. Jak się Elser przekonał, autor wzywał w niej wszystkich Niemców do sympatyzowania i współpracy z Sicherheitsdienstem i gestapo, co było przez Heydricha niewątpliwie bardzo pożądane.

Na trzecie z kolei spotkanie obaj umówili się poza miastem, przy autostradzie berlińskiej. Nieznajomy przyjechał autem, w którym prócz niego znajdował się jakiś inny mężczyzna, o okrągłej, czerwonej twarzy. Po chwili Elser znalazł się w samochodzie, który niezwłocznie popędził autostradą.

Teraz dopiero wyjaśnił się cel dotychczasowych rozmów. Tęgi blondyn zapytał mianowicie, czy Elser umiałby skonstruować bombę zegarową.

— Nigdy tego nie robiłem, ale gdybym miał jakieś wskazówki i materiał, chyba bym coś takiego sporządził. Myślę, że można by ją oprzeć na przykład na zasadzie zwykłego budzika...

— Owszem można — usłyszał — ale budzik to historia na dwanaście godzin. A jeśli bomba musiałaby wybuchnąć za godzin dwadzieścia czy za dwa dni, co wtedy?

— Trzeba byłoby pomyśleć...

Blondyn o czerwonym licu klepnął Elsera w ramię:

— Pomożemy panu, dobrze?

Elser znów otrzymał sto marek i nową lekturę. Tym razem jednak była to broszura o rozmaitych

* Przemiany naszej walki.

chemicznych środkach wybuchowych, bowiem w tej dziedzinie czuł on się najgorzej. Podczas drogi powrotnej współtowarzysze jazdy oznajmili mu, że następnym razem rozpoczną się praktyczne już przygotowania do akcji, dzięki której banda zwyrodnialców, zdrajców i wrogów führera zostanie zniszczona.

Ale do tych przygotowań nie doszło już, i to bynajmniej nie z winy Elsera. Następnym razem pojawił się tylko mężczyzna w skórzanym płaszczu i oznajmił krótko, że akcja zostaje odłożona, co w konsekwencji pociągnąć musiało odłożenie na jakiś czas praktycznych prób. Broszurę o materiałach wybuchowych Elser musiał zwrócić, zatrzymał jednak przy sobie utwór Heydricha oraz wzbogacił się za jednym zamachem o kilkaset marek. Nieznajomy nakłaniał go do wstępnych prac we własnym zakresie, srogo napominając o konieczności zachowania milczenia. W odpowiednim czasie miał otrzymać dalsze wskazówki.

Elser zastanawiał się długo nad tym dziwnym postępowaniem i w końcu doszedł do wniosku, że zapewne zostaje wystawiony na próbę. Wziął się przeto dzielnie do pracy nad sobą i nawet w skromnych warunkach domowych począł dochodzić do zupełnie niezłych rezultatów, w czym pomogła mu wrodzona inteligencja. Kandydat na zamachowca przeciwko generalsko-strasserowskiemu spiskowi nie skojarzył sobie ani przez moment przerwy w tajemniczych poczynaniach z tak zwanym kryzysem czeskim, w wyniku którego ustąpił w końcu sierpnia 1938 roku ze swego stanowiska szef sztabu generalnego generał Ludwik

Beck. „Kryzys czeski” w Niemczech trwał aż do podpisania układu w Monachium w dniu 30 września, w dniu, w którym Francja i Anglia oddały Czechosłowację na pożarcie Hitlerowi bez żadnego sprzeciwu.

Problem czeski przestał dla Niemiec istnieć. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, znikły także opory w sztabie generalnym, a Otto Strasser musiał uciekać czym prędzej wraz z paru sztabowcami „Czarnego Frontu” z Pragi przed idącym naprzód Wehrmachtem.

Listopadowe spotkanie Hitlera z jego starą gwardią partyjną w monachijskiej piwiarni Bürgerbräukeller, gdzie kiedyś zbierali się pierwsi hitlerowcy i gdzie ich żądny władzy i krwi wódz wygłaszał swe pierwsze przemówienia, przeszło tego roku spokojnie. Ktoś, kto myślał o tym, aby w starych murach piwiarni rozległ się wybuch, stwarzając okazję do pozbycia się kolejnych przeciwników, dał znak i Georg Elser zatrzymał się na wytyczonej mu drodze.

Zatrzymał się nie na długo.

Późną wiosną 1939 roku przed domem, w którym mieszkał, przystanął czarny *Mercedes*, z którego wysiadł czerwonolicy, tęgi blondyn. Ponieważ przybysz nie zastał Elsera w mieszkaniu, pozostawił mu kartkę z oznaczeniem miejsca i terminu spotkania. Elser stawił się punktualnie, wsiadł do oczekującego go *Mercedesa* i zdziwił się, nie ujrzawszy dawnego swego kontrahenta w szarym, skórzanym płaszczu. Blondyn zrozumiał jego spojrzenie, ale nie dał ani słowa wyjaśnienia. Jego zdaniem, wyjaśnienie takie było

zupełnie zbyteczne. Po cóż miałby mówić Elserowi, że mężczyzna w skórzanym płaszczu zdążył się już do tego czasu z ludzką pomocą przenieść do wieczności?

Nowy zleceniodawca wyrażał się bardzo zrozumiale, ale też i zwięźle. Po godzinie Elser wiedział już doskonale, co go oczekuje i co w związku z tym ma czynić. Następnego dnia odwiedził Bürgerbräukeller i przesiedział tam przy ciemnym piwie parę godzin. To samo czynił przez kilka jeszcze dni. Wieczorami zaś zamykał się w pokoju i bądź czytał na głos jakieś teksty, bądź spędzał czas na gorliwym majsterkowaniu.

Gdzieś po tygodniu zobaczył znów tęgiego mężczyznę, tym razem w towarzystwie ponuro wyglądającego i milczącego kompana.

— Zaczynamy — rzekł blondyn, gdy wyjechali za miasto.

Elser skinął głową.

— Kto ci dał zlecenie przygotowania zamachu, mów! — głos blondyna zmienił się nie do poznania, był teraz ostry, napastliwy, wdzierał się w uszy. — Kim byli twoi kamraci?

— Pewnego dnia, gdy byłem na piwie w Bürgerbräukeller, przysiadł się do mnie jakiś mężczyzna — mówił Elser. — Poznaliśmy się bliżej i po paru dniach dołączył do nas jakiś jego znajomy. W trójkę rozmawialiśmy o polityce i jakoś rozpoczęliśmy mówić o führerze.

— Dosyć! — przerwał blondyn. — Niedobrze, Elser. Po pierwsze, zbyt dużo ględzisz, po drugie: co to znaczy, że poznaliśmy się bliżej? Bliżej, to znaczy, prawie bruderschaft, a pan ma

mówić o nieznajomych dwóch mężczyznach, oni nigdy nie mówili nazwisk, nawet imion nie wymienili, rozumie pan? Po trzecie: pan nie może używać określenia führer, a po prostu Hitler. Ładna historia! Facet chce zabić Hitlera, ale mówi o nim führer, wódz. A więc Elser! Na wszystkie pytania odpowiada pan możliwie krótko, jakby z przymusem. Niech się pan trzyma tego jako zasady, a uniknie pan błędów. Uwaga na drobnostki, jedna taka sztuczka, a zgubi pan całą sprawę przed jakimś niegłupim policjantem. No, Elser, spróbujmy raz jeszcze. Co to byli za ludzie, którzy kazali ci podłożyć bombę? — głos mówiącego znów zmienił barwę. — Tylko bez głupiego gadania! Mów prawdę, świnio!

— Nie wiem, nie znam ich.

— O, już lepiej! — ucieszył się edukator. — To ty podłożyłeś bombę, przyznaj się!

— Tak, ja podłożyłem bombę.

— Po co, co miałeś na celu?

— Chciałem zabić führ..., przepraszam, Adolfa Hitlera!

— Uważaj pan, Elser! A z tym Adolfem to nieźle. Niech pan tak właśnie powie: Adolfa Hitlera.

Edukacja trwała około dwóch godzin i po jej zakończeniu Elser czuł się, jak wyżęta ścierka. Po przyjeździe pod jego dom ponury dryblas udał się z nim do mieszkania, rozglądając się po nim, przerzucił kilka drobiazgów, obejrzał papiery. Potem bez słowa, przyłożywszy tylko palec do ronda tyrolskiego kapelusza, oddalił się.

Elser pozostał sam z niejaką rozterką w duszy,

ponieważ blondyn nie tylko nie wyznaczył nowego z nim spotkania, ale zapowiedział, iż w najbliższym czasie spotkają go niespodzianki. Czekał na nie zaledwie kilka dni. Którejś nocy załomotano do drzwi i gdy je otworzył, do mieszkania wpadło trzech esesmanów. Jeden z nich ustawił Elsera pod ścianą, dwaj pozostali poczęli pakować do przywiezionych przez siebie walizek wszelkie papiery, jakie tylko wpadły im w ręce. Potem szturchnięciem w żebra zaproszono gospodarza do wyjścia. Przed domem stało auto ze zgaszonymi reflektorami. Elserowi wydało się, że rozpoznaje stojącą przy nim znaną mu sylwetkę, ale na przypatrywanie się jej nie miał czasu. Wepchnięto go do auta, które ruszyło przed siebie.

Jazda była dla Elsera prawdziwą męką. Siedział ściśnięty między esesmanami, a gdy poprosił o papierosa, palił bowiem wiele, otrzymał w odpowiedzi silne kopnięcie w nogę. Trudno było w tych warunkach o dobre samopoczucie, ale Elser musiał znosić wszelkie niewygody.

Gdy znalazł się znów na powietrzu, rozpoznał rzędy baraków, oświetlone dokoła silnymi lampami. Niekiedy w różnych stronach błyskały reflektory, skądś dobiegało ujadanie psów. Dopiero rano przekonał się, że znajduje się nie gdzie indziej, a w Dachau, w budzącym coraz większą grozę obozie koncentracyjnym.

Elsera umieszczono w oddzielnym pomieszczeniu, przed którym bez przerwy czuwał wartownik z wymownym znakiem trupiej czaszki na kołnierzu i czapce, przebrano w obozowy strój, ale nie wypuszczano w ogóle z zamknięcia. Dopiero

po dwóch dniach uzbrojeni esesmani zaprowadzili go do budynku komendantury, gdzie w jakimś pustym niemal pokoju przyjęli go dwaj jego znajomi z Monachium.

— Niech pan się nie dziwi, Elser — rzekł blondyn o czerwonej twarzy — ale to konieczność. Nie będzie pan miał tu źle, może pan być spokojny. Jedzenie i praca zapewnione, a w ogóle wszystko tu pójdzie nam łatwiej i szybciej.

— Zbudowanie bomby też? — zapytał z wyrzutem nowy obozowicz. Po ostatnich przeżyciach ogarnęło go duże rozczarowanie.

— I to też, właśnie głównie o to chodzi. Musi pan tę rzecz opanować do najdrobniejszego szczegółu, a w Monachium nie mogliśmy sobie pozwolić na ryzyko. Stąd nie wychodzą na świat żadne tajemnice, a poza tym będzie tu panu bezpieczniej. Przy tej okazji przekona się pan, co to jest obóz koncentracyjny SS, a to na pewno wzbogaci pańskie doświadczenie życiowe i przyda się na przyszłość. Pan popatrzy sobie tylko, niech się pan niczego nie boi...

Sporo jednak dni minęło, nim Elser wreszcie przywykł do nowej sytuacji. Jak mu zakomunikowano, do obozu przybył oficjalnie w celu tak zwanej reedukacji politycznej, kiedyś bowiem miał się stykać z komunistami, a Dachau służyło właśnie wychowaniu w duchu hitlerowskim. Jak się to wychowanie praktycznie odbywało, Elser widział codziennie i dziękował Bogu, że nie jest obiektem owych „pedagogicznych" zabiegów. Więźniowie traktowani byli gorzej niż bydło. Ciężka, fizyczna praca, ohydne jadło i znęcanie się strażników niszczyły ich w piorunującym niemal tempie. Jak się zorientował, większość więźniów stanowili komuniści, a ich los był najbardziej tragiczny.

Obserwując to wszystko, Elser odczuwał wdzięczność wobec swych potężnych zleceniodawców, że jemu każą się tylko szkolić. Szkolenie to było teraz wszechstronne i przebiegało rzeczywiście szybko, do czego przyczyniały się i pojętność ucznia, i gorliwość nauczycieli. Blondyn zajmował się nadal polityczną stroną dzieła i przygotowaniem Elsera do mającego nastąpić śledztwa, mężczyznę z ponurą twarzą w dalszym ciągu interesowały problemy natury technicznej. Miał on zresztą stosunkowo niewiele pracy, gdyż w tej dziedzinie Elser czuł się jak ryba w wodzie. Izba, w której przebywał, wkrótce zamieniła się w prawdziwy warsztat i czas biegł przymusowemu więźniowi szybko. Czasami — nie zdarzało się to zbyt często — wyprowadzano go na powietrze, a czynił to zawsze jeden i ten sam podoficer SS, którego gęba odbierała ochotę do wszelkiej rozmowy.

Mijał sierpień i Elser był właściwie już gotów. Poszczególne elementy bomby otrzymał gotowe, ich złożenie nie przedstawiało żadnego trudu, było w dodatku kwestią krótkiego bardzo czasu. Mechanizm zegarowy, podobny do mechanizmu budzika, zdolny był do działania przez 72 godziny, jednakże Elser niezależnie od tego zastosował urządzenie elektryczne, mogące spowodować wybuch na odległość za naciśnięciem guzika. Teraz pozostało praktyczne wypróbowanie obu tych in-

stalacji. Dokonano tego w pierwszych dniach września poza terenem obozu, w odosobnionym zakątku górskim. Mechanizm zegarowy, nastawiony na trzy i pięć godzin, działał w każdym przypadku z niezawodną punktualnością. Nie zawiodło także urządzenie elektryczne.

Gdy rozległ się pierwszy wybuch, na twarzy Elsera pojawiło się rozrzewnienie.

— Piękny huk — powiedział do swych towarzyszy — a jakie doskonałe echo...

Mistrz ukochał swe dzieło, ale i blondyn przejawiał wyraźne zadowolenie.

Próby mechanizmu zegarowego, nastawionego na dłuższe odcinki czasu, przeprowadzono w ciągu pierwszych dni września, tym razem już za obozem i część mieszkańców Dachau przeżyła swego rodzaju emocję, sądząc, że ich miasto, które zdążyło już zasłynąć dzięki obozowi w całej Europie, atakują nieprzyjacielskie samoloty.

Swój dalszy pobyt w obozie Elser uznał za zbyteczny i pewnego dnia nieśmiało zwrócił na to uwagę blondynowi. Ten jednak puścił jego słowa mimo uszu. Elser dalej więc pracował nad sobą i śpiewająco opowiadał teraz całą historię zamachu, który jeszcze się nie odbył. Już od dawna pragnął zemścić się za brata, którego wtrącono do obozu, i pewnego dnia wpadł na pomysł, aby podłożyć bombę w Bürgerbräukeller, gdzie co roku tego samego dnia, 8 listopada, Hitler spotykał się z weteranami swojej partii. Podczas przygotowań spotkał przypadkowo jakiegoś mężczyznę, który z kolei zaznajomił go z innym. Pomogli mu, dostarczając materiału wybuchowego.

Kim oni byli, Elser nie wiedział, ale mógł z pewnych ich słów wywnioskować, że kontaktowali się z członkami „Czarnego Frontu" Strassera, zdradzali także sympatię do komunistów, wyrażali się pozytywnie o Anglii i liczyli się z tym, że armia sprzeciwi się Hitlerowi w jego poczynaniach. Krótko mówiąc, mogli współpracować z każdym z wrogów hitlerowskich Niemiec. Przebieg rozmów z tymi wysłannikami ciemnych mocy Elser odtwarzał niczym płyta gramofonowa, nie odbiegając od określonego tekstu mimo najbardziej podstępnych pytań swego jasnowłosego egzaminatora. Z biegiem czasu wszystko tak wryło mu się w pamięć, że niekiedy sam sądził, iż przeżył to w rzeczywistości.

— A przecież musiałeś wziąć w rachubę i to, że jeśli dokonasz zamachu, stracisz życie... — mówił blondyn.

— Tak, liczyłem się z tym — odpowiadał Elser z pamięci.

— Życie dla ciebie tak mało znaczy?

— Tak, nie ma ono dla mnie żadnej wartości.

— Zginiesz, ale przedtem przeklniesz, żeś się urodził!

— Liczyłem się z tym. Wiem, co mnie może spotkać.

Blondyn pojawiał się w obozie co kilka dni i spędzał z Elserem za każdym razem wiele godzin. Były to zawsze egzaminy z materiału, który więzień uprzednio sam przygotował. Tak rodziła się nowa jego przeszłość i teraźniejszość, nawet już w podświadomości fakty zmyślone stawały się

faktami rzeczywistymi. Elser mógł stawiać opór najwytrawniejszym sędziom śledczym.

Któregoś dnia wyjechali obaj z blondynem do jakiejś ustronnej willi pod Monachium. Nie było w niej nikogo i Elser zdziwił się, gdy rozpoczęli właśnie tutaj odtwarzanie przewidywanego toku badań. Trwało to dłuższy czas. Potem blondyn zniknął, by powrócić za kilkanaście minut. Elser ani nie przypuszczał, że cały ich dialog był tego dnia słuchany, a on sam obserwowany. Gdyby nawet o tym wiedział, nie miałoby to już znaczenia, rolę swą opanował tak doskonale, że począł ją przeżywać. W każdym razie, nie wiedząc o tym wcale, w tym dniu zdał egzamin decydujący, bowiem niewidzialnym egzaminatorem był ten, kto całe to przedsięwzięcie obmyślił i konsekwentnie realizował.

Był to Reinhardt Heydrich, mistrz prowokacji, który poza wspomnianym już usunięciem Fritscha i Blomberga miał za sobą takie dzieła, jak zorganizowanie afery radzieckiego marszałka Tuchaczewskiego i napad na radiostację gliwicką, nie licząc serii pomniejszych prowokacji oraz cichych i głośnych morderstw dokonanych na przeciwnikach hitleryzmu.

Patrząc na Elsera, który był niczym innym, jak tylko kolejną jego ofiarą, z góry skazaną przez niego na śmierć, zaczynał się zastanawiać, czy nie iść dalej, niż uprzednio zamierzał. Elser stawał się okazją, która nieprędko mogła się powtórzyć... A niepohamowana ambicja Reinhardta Heydricha kazała mu patrzeć daleko i sięgać wysoko. Aż do stanowiska führera Wielkich Niemiec.

Stało się jednak tak, że rachuby te przekreśliła jedna rozmowa. W nocy z 5 na 6 listopada wezwał go do siebie jego bezpośredni przełożony, reichsführer SS, Heinrich Himmler.

— Heydrich, powstała sytuacja, w której musi pan działać. Należy stworzyć warunki, w których führer mógłby realizować swe najbliższe cele przy pełnym poparciu opinii publicznej w Niemczech i w krajach zaprzyjaźnionych. Trzeba też zlikwidować złe nastroje wśród generałów, najlepiej przez odebranie im możliwości sarkania i ewentualnych konszachtów. Czy ma pan jakiś pomysł?

Heydrich zastanawiał się.

— To jest dość skomplikowana sprawa — powiedział niezdecydowanie.

— Musi się coś stać, na przykład jakieś agresywne posunięcie naszych wrogów, coś, powiedzmy, w rodzaju podpalenia Reichstagu... — poddawał Himmler. — Gdyby, bo ja wiem, wrogowie, choćby Anglicy, targnęli się na życie wybitnej osobistości w Niemczech...

— Może ci Anglicy z Holandii?

— Zaprosi ich pan do Niemiec, żeby strzelali do Goeringa? — zaśmiał się Himmler.

Heydrich milczał i wtedy Himmler zadał pytanie, które długo nie pozwalało spać szefowi RSHA:

— A ten pański, jakże mu tam, Elser?...

Heydrich z największym wysiłkiem zachował spokój. Himmler umiał więc dotrzeć do jego największych tajemnic, a on, zebrawszy sporo już

dokumentów w teczce reichsführera, uważał, że ma go całkowicie w ręku.

Trzeba było jednak coś powiedzieć i Heydrich, zmrużywszy tylko oczy, spojrzał na Himmlera.

— Elsera chciałem wykorzystać nieco później, gdyby wypadki z Francją potoczyły się dla nas źle...

— Nie — przerwał Himmler — trzeba to będzie zrobić teraz, i to już 8 listopada, niech pan się pospieszy.

— Więc w grę wchodzi... führer?

— Niestety, ani pan, ani ja nie mamy jeszcze tej popularności i tego zaufania narodu, jakie ma führer. Nie wchodzi w grę również Goering. Zdecydowałem się, a pana proszę o codzienne meldunki. Przy okazji, Heydrich — głos Himmlera zabrzmiał teraz znaną Heydrichowi nutką — z führerem do Monachium pojadę ja i osobiście obejmę kierownictwo jego ochrony. Jutro wieczorem przedstawi mi pan całkowity plan...

Tak rozwiały się pewne rachuby Reinhardta Heydricha, ale jego nadwątlony już mocno szacunek do Himmlera bardzo się z powrotem umocnił. Obergruppenführer zastanawiał się tylko, do kogo należy autorstwo pomysłu. Himmler byłby zbyt ostrożny, aby wysuwać tak daleko idące koncepcje, czyżby więc sam Hitler chciał ryzykować własną głową? Niełatwo było przyjąć tę tezę. Hitler nie znosił ryzyka i był zbyt tchórzliwy. Heydrich mógłby wiele na ten temat powiedzieć, zdążył się bowiem zatroszczyć i o osobistą teczkę samego wodza.

Długo zastanawiał się Heydrich również nad

tym, kto wyjawił Himmlerowi sprawę Elsera, ale nigdy nie miał się dowiedzieć, że główną w tym rolę odegrał oberführer Teodor Eicke, ongiś pierwszy komendant obozu w Dachau, aktualnie zaś inspektor niemieckich obozów koncentracyjnych.

Georg Elser był już w tym czasie daleko zaawansowany w działaniu. Ponieważ Bürgerbräukeller strzeżona była przez specjalnych funkcjonariuszy gestapo na tydzień przed każdym pojawieniem się tam Hitlera, Elser i jego opiekunowie pojawili się w niej w ostatnią noc października. Blondyn dysponował kluczem od tylnego wejścia. Było cicho, duża sala powitała ich ciemnością i piwnym odorem.

Przy świetle elektrycznych latarek dotarli do jednej z kolumn, obok której stało zwykle podium mówcy. Elser ujął za narzędzia. Deski z boazerii usuwały się łatwo, pewną trudność sprawiły tylko cegły, ale i z tym zdołali się uporać. Najwięcej czasu pochłonęło usuwanie śladów, trzeba było zdmuchnąć najmniejszy nawet pyłek.

Zniknęli tak jak przyszli — nie zauważeni przez nikogo.

— A teraz pojedziemy do Szwajcarii — oznajmił blondyn następnego dnia.

Elser zgodził się bez słowa; decyzje swego „opiekuna" od dawna przyjmował bezkrytycznie.

Granicę przeszli posługując się dokumentami, które załatwił blondyn, i zatrzymali się na trzy dni w Bregencji i St. Gallen. Tu właśnie spotkać się miał Elser z ludźmi, którzy pomagali mu przygotować zamach, oraz z innymi jeszcze osobnikami, z których jeden przypominał wyglądem

Otto Strassera, ale nie zdradził się, kim jest rzeczywiście. Elser poznał miejsca spotkań, zapoznał się z wyglądem szwajcarskich miast, smakiem szwajcarskich potraw i obyczajami Szwajcarów. Podobała mu się tak dobra organizacja akcji.

— Jest ona konieczna — stwierdził blondyn — inaczej nie marnowalibyśmy aż tak wiele czasu. Najprostszą rzeczą byłoby całą tę generalską bandę, która spiskuje przeciw führerowi i chce go pozbawić życia, zamknąć i zlikwidować. Ale tego nie udałoby się zrobić w tajemnicy, doszłoby do większej awantury, byłby skandal na cały świat, a jest przecież wojna i musimy zdobywać przyjaciół, a nie przysparzać sobie wrogów. Musimy osłaniać führera, a zniszczyć tych, którzy w niego i w naród godzą. Wszyscy spiskowcy znajdą się w piwiarni w pierwszych rzędach, führer przemówi, wyjdzie z sali, a wtedy wybuchnie bomba.

— Więc zastosujemy zegar czy elektryczność? — zainteresował się Elser. — Zegar może być trochę niepewny...

— To prawda, ale na razie przygotujmy i to, i to.

7 listopada wieczorem czerwonolicy blondyn wezwał Elsera do ostatniego już czynu. Tak jak uprzednio, w trójkę podjechali nocą pod Bürgerbräukeller. Piwiarni powinni byli tej nocy, tak jak nocy ubiegłej, strzec wyznaczeni do tego celu gestapowcy, ale dziwnym zbiegiem okoliczności wieczorem przejął służbę jeden tylko człowiek, starszy już hitlerowiec, posiadacz złotej odznaki partyjnej, a poza tym dobry znajomy Reinhardta

Heydricha z tych jeszcze czasów, gdy ten był kierownikiem wydziału w monachijskiej dyrekcji policji. Człowiek ten nie miał widocznie zamiaru przesadnie penetrować powierzonego mu obiektu, gdyż Elser i jego towarzysze bez przeszkód zamontowali w wydrążonej kolumnie bombę.

— Jaką godzinę nastawić? — zapytał Elser, gdy ta praca miała się już ku końcowi.

— Żadną. Wyłącz całe to urządzenie — rozkazał blondyn.

— Może zegar w ogóle zabrać?

— Nie, zostaw wszystko, jak jest, wyłącz urządzenie zegarowe i tylko pamiętaj, że godzinę nastawiałeś. Teraz montujmy przycisk elektryczny.

Blondyn wskazał miejsce, gdzie przycisk miał się znajdować. Było to małe pomieszczenie tuż przy wyjściu, w intencji budowniczego przeznaczone zapewne dla portiera. Sam montaż urządzenia nie nastręczał większych trudności, gorzej było z ukryciem przewodu tak, aby go nikt nie mógł dostrzec. Elser był cały mokry, gdy się wreszcie z tym uporał.

— Sprawdź, czy wszystko w porządku, czy jest prąd — upominał blondyn.

— Najlepiej się sprawdzi, gdy się naciśnie kontakt — Elser pozwolił sobie na dowcip. — Wszystko powinno działać, schowajmy tylko gdzieś przycisk, bo ktoś go dotknie i będzie nieszczęście...

Blondyn ukrył przycisk za szafą, potem zamknął izdebkę na klucz, a na otworze zamka nakleił karteczkę z okrągłą pieczątką.

Dzieło było gotowe.

Gdy führer i kanclerz Rzeszy, Adolf Hitler, przybył w dniu 8 listopada do Monachium swym specjalnym pociągiem, Georg Elser podążał już do granicy szwajcarskiej wraz ze swym opiekunem. W kieszeni miał przepustkę graniczną, a obok niej zdjęcie wnętrza Bürgerbräukeller z zaznaczonym na nim krzyżykiem. W jego portfelu znajdowało się kilkaset marek. Blondyn rozstał się z nim wieczorem w przygranicznym miasteczku.

— Do widzenia, Elser — powiedział. — Ja będę w pobliżu cały czas. Zobaczymy się niedługo znów.

Obserwował, jak Elser idzie ku granicy na oczach niemieckich strażników, usłyszał ich nawoływania, jakiś strzał. Potem zobaczył Elsera już pod eskortą, uśmiechnął się i ruszył w drogę powrotną.

W tym samym mniej więcej czasie Hitler wchodził na podium. Każdy, kto go dobrze znał, mógł zauważyć bez trudu, że führer jest nieco podniecony i raz po raz rzuca ukradkowe spojrzenie na boki. Choć do Monachium przybył wraz z Himmlerem, Himmlera na sali nie było.

— Dobrzy, starzy towarzysze walki! — rozpoczął Hitler.

„Starzy towarzysze walki" i zaproszeni goście, wśród których mało było widać wojskowych mundurów, rozsiedli się, jak nakazywała tradycja, przy stolikach, pełnych kufli z dobrym, bawarskim piwem.

Przemówienie było inne, niż się spodziewali. Hitler przypomniał sukcesy Niemiec, w tym przede wszystkim zwycięstwo nad Polską, potępił Anglię za odrzucenie jego pokojowych roszczeń, zapowiedział, że Niemcy będą walczyć do końca. Mikrofony przekazywały jego słowa poprzez wszystkie rozgłośnie niemieckie na cały kraj.

I raptem, gdzieś po dziesięciu minutach, urwał, zwinął tekst przemówienia i uniósłszy dłoń w pozdrowieniu ruszył szybko ku wyjściu. Nie siadł, jak zwykle, przy stoliku, aby pogadać z weteranami ruchu? Gauleiter Wagner, gospodarz uroczystości, pogonił skonsternowany za führerem. Nieoczekiwaną przerwę wykorzystali wszyscy na opróżnianie kufli.

— Jutro o ósmej mam konferencję wojskową w Berlinie — wyjaśnił Hitler Wagnerowi. — Nie czas na przemówienia, gdy przemawiają działa.

Wagner odprowadził go na dworzec. Pociąg oczekiwał przy zablokowanym strażą peronie. Hitler pożegnał się z gauleiterem, wszedł do wagonu, usiadł i otarł chustką mokre od potu czoło. Za jakiś kwadrans pojawił się Himmler.

— Wszystko gotowe, *mein führer.*

— Jedźmy.

Himmler nie wdawał się w rozmowę, wiedząc, w jakim Hitler znajduje się nastroju. On tylko wiedział, że führer skrócił swe przemówienie o połowę, i domyślał się, dlaczego tak postąpił: nie dowierzał mu, jemu, reichsführerowi SS, jedynemu człowiekowi w Niemczech, na którym zawsze dotąd polegał. I tym razem Himmler czuwał nad nim bacznie, nie spuszczał ani na moment oka z tych, którzy wykonywali zadanie. Bomba miała wybuchnąć w równe dziesięć minut po opuszcze-

niu przez Hitlera piwiarni, führer o tym wiedział, nie wytrzymał jednak nerwowo.

Bomba rzeczywiście wybuchła w równe dziesięć minut po jego wyjściu. Tak jak było umówione.

Jej siła była potężna. Sala po wybuchu przypominała doprawdy pobojowisko, sufit oberwał się, ściany zarysowały. Siedmiu „starych towarzyszy walki" padło trupem, blisko sześćdziesięciu odniosło ciężkie rany.

Pociąg Hitlera przybył do Norymbergi i tam zameldowano führerowi o zamachu.

Hitler zabawił się w aktora: zacisnął pięści, wykrzywił twarz.

— To podłość! Nikczemnicy! Moi starzy towarzysze znów we krwi!... Chciano mnie zgładzić...

Sekretarka zanotowała następne słowa, które Hitler wypowiedział do swego otoczenia, gdy przyszedł do siebie:

— Teraz mogę być już zupełnie spokojny. Fakt, że opuściłem Bürgerbräukeller wcześniej niż zwykle, jest dla mnie najlepszym świadectwem, iż opatrzność pozwoli mi osiągnąć mój cel...

W Monachium panował tymczasem stan alarmu, a wiadomość o schwytaniu Elsera była pierwszym dopiero tropem, na który wpadli zjednoczeni agenci SD, gestapo i policji kryminalnej.

Ale Elsera uznano za niespełna rozumu i odesłano do celi. Nikt nie zamierzał potraktować go poważniej, przynajmniej w najbliższym czasie.

Wszystkich szefów monachijskiej policji oraz samego Elsera postawił jednak nad ranem na nogi nagły telegram z Berlina:

„Ściśle tajne, sprawa państwowa. Zatrzymanego Georga Elsera przekazać natychmiast do Berlina do mojej dyspozycji, z zachowaniem maksymalnej ostrożności".

Telegram podpisał gruppenführer Heinrich Müller, naczelny szef gestapo.

V. AKCJA VENLO

Walter Schellenberg siedział przy oknie holenderskiej kawiarni, odsuwając rosnące z minuty na minutę podniecenie. Kawiarnia o tej porze była pełna, ale doświadczony już wzrok szpiega bez szczególnego trudu dostrzegł, że ulicą przechodzą dość często ludzie, z którymi wolałby nie mieć do czynienia. Od kilku już dni strefę przygraniczną nawiedziła cała fala policyjnych agentów, co oczywiście miało swój związek z ruchami wojsk niemieckich ku granicy holenderskiej. Była to okoliczność dla akcji bardzo niepomyślna i Schellenberg z niepokojem spoglądał w najbliższą przyszłość. Rozstrzygający moment mógł nastąpić w każdej minucie.

Był sam przy stoliku. Kandydata na generała pozostawił przezornie w Düsseldorfie, nie chcąc zwiększać ryzyka; człowiek ten, aczkolwiek honorowy wyższy oficer SS, zdradzał zbyt wyraźny strach, aby można było liczyć w ogóle na jakąś jego pomoc. Akcja była zresztą zbyt niebezpieczna i potencjalny tchórz mógł stwarzać jedynie dodatkowe kłopoty. Schellenberg wziął tedy z sobą jednego ze swych pomocniczych pracowników, który teraz siedział po drugiej stronie sali, lecz

również niedaleko drzwi, i udawał zagłębionego w lekturze prasy.

Naujocks ze swą bandą zaczaił się za budynkiem niemieckiej straży celnej, oddalonej od kawiarni zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Teren na tym odcinku był słabo zabudowany i Schellenberg dostrzegał z okna górne partie karoserii samochodów esesmanów, gotowych do działania. Zdążył już poznać całą tę dwunastkę, a uczynił to z prostej ostrożności. Kapitan Payne-Best był podobny do niego z figury i Schellenberg słusznie obawiał się, że w razie jakiejkolwiek pomyłki, a o tę było bardzo łatwo w zamieszaniu, mógł z powodzeniem stać się ofiarą gorliwości swych własnych przyjaciół, a w najlepszym już razie otrzymać od nich jakieś porządne uderzenie. Na sam widok twarzy ludzi Naujocksa ogarniał człowieka strach i nawet Schellenberg dziwił się, jak można było zebrać w jednym zespole tak wyborowych gangsterów. Jedno było pewne: ludzie ci nie zawahają się przed niczym. Samo ich zachowanie mówiło, że „mokra robota" jest ich codziennym chlebem, a słynny „upiór z Dusseldorfu" duchowym ich patronem.

Zaproponowany przez Naujocksa i Bechera plan akcji przewidywał błyskawiczne uprowadzenie Anglików. Na widok nadjeżdżającego samochodu Anglików Schellenberg miał wyjść przed kawiarnię. Był to znak dla esesmanów, którzy natychmiast mieli przebyć linię graniczną, podjechać pod kawiarnię, bez ceregieli zapakować Anglików do swych wozów i jak najszybciej powrócić na niemiecką stronę. Szybkość i zaskoczenie miały

decydować o powodzeniu akcji, inaczej Naujocks zapowiadał masakrę, której Schellenberg chciał uniknąć, tak z obawy o własne życie, jak też w strachu przed Himmlerem.

Oczekiwanie przedłużało się, sturmbannführer był coraz bardziej niespokojny. Anglicy mogli urządzić podobną historię jak uprzednio w Arnhem, a ponowne spotkanie z holenderską policją Schellenbergowi wcale się nie uśmiechało. Co gorsza — mogli w ogóle nie przybyć, a wtedy szpiega oczekiwała rozprawa z berlińskimi szefami. Gdy minęła druga, a znajomy *Buick* nie pojawił się na drodze, Schellenberg coraz bardziej się denerwował. Zamówił znów jakiś napój i ukradkiem połknął tabletki uspokajające. Pozwoliły mu one usiedzieć na miejscu przez następną godzinę. Teraz zamówił kawę, wymyślając w duchu na niepunktualność Anglików, ledwie jednak wypił łyk, dostrzegł *Buicka*, który szybko zbliżał się do miejsca spotkania.

Schellenberg wciągnął głęboko potężny haust powietrza i na drętwych nieco nogach, zostawiając płaszcz i kapelusz w szatni, ruszył do drzwi, kątem oka zaledwie dostrzegając, że jego kompan czyni to samo. *Buick* zamącił spokój przeraźliwym zgrzytem hamulców. Ledwie on ucichł, Schellenberg usłyszał coraz wyższy śpiew silnika na granicy.

Wydarzenia nabrały teraz filmowego tempa. Gdy Schellenberg doszedł do *Buicka* Anglików, wielki czarny *Mercedes* esesmanów podjechał już do parkingu. Sturmbannführer zdążył dostrzec Besta i uniósł rękę na powitanie, gdy w tym samym

momencie, po drugiej stronie *Buicka*, z otwartych gwałtownie drzwi *Mercedesa* wyskoczył Becher z pistoletem w ręku. Równocześnie od budynków granicznych dobiegły strzały. Widocznie Holendrzy nie ulękli się wyglądu esesmanów.

Schellenberg stanął, rozglądając się za najlepszą drogą ucieczki, ale z kolei on ujrzał tuż przed sobą Coppensa z wyciągniętym pistoletem. Nie namyślając się wiele, upadł plackiem na jezdnię, z duszą na ramieniu oczekując dalszego biegu wydarzeń. Na jego szczęście porucznik zostawił go w spokoju i oddał kilka strzałów do *Mercedesa*. Niemcy odpowiedzieli ogniem i ranny Coppens wypuścił z ręki broń, co Schellenberga ośmieliło do podniesienia się na nogi.

Esesmani byli już przy *Buicku* i klnąc siarczyście wyciągali Besta i Stevensa z wozu. Obaj angielscy oficerowie opierali się co prawda, ale widać było, że zaskoczenie zdezorientowało ich zupełnie. Wszystkiego się prawdopodobnie spodziewali, ale nie porwania z terytorium neutralnego państwa. Stevens spojrzał nawet na Schellenberga wzrokiem, który wyrażał krańcowe osłupienie. Niemiec w odpowiedzi uśmiechnął się głupio, nie wiedząc, jak ma się zachować.

— Uciekaj pan stąd, himmelkreuzalleluja! — usłyszał nagle nad uchem wściekły ryk Naujocksa, i to dopiero go podnieciło do jakiegoś działania. Uskoczył za najbliższy narożnik, a nie słysząc strzałów rzucił się biegiem do swego samochodu. Należało umykać czym prędzej, za minutę mógł się zwalić na to miejsce cały pułk holenderskiej policji.

Ledwie jednak były już „kapitan Schaemmel" ruszył parę kroków z miejsca, wyrósł przed nim potężny drab w mundurze podoficera SS.

— Halt! — wrzasnął. — Stój, ty angielska świnio, bo ci rozwalę łeb!

Ponieważ Schellenberg ani myślał o zatrzymaniu, podoficer poparł swe żądanie energicznym uderzeniem sturmbannführera w odsłoniętą głowę. Schellenbergowi zrobiło się na moment ciemno przed oczami. Gdy odzyskał wzrok, ujrzał lufę pistoletu tuż pod swoim nosem.

— Weź tę broń! — zawołał z przerażeniem.

Podoficer chwycił go już bez słowa za kark i przydusił do ziemi. Z opresji wyratował Schellenberga Becher, kopnąwszy po prostu esesmana w wypięty zadek. Niefortunny esesman skwitował to... wyciągnięciem ręki w hitlerowskim salucie, poznawszy w osobniku, który się tak nieobyczajnie zachował, swego przełożonego.

— Niech pan odjedzie, na litość boską! — zawołał Becher. — Anglicy zapakowani. Nas już tu nie ma!

Schellenberg trzęsącymi się rękami chwycił za kierownicę i na pełnym gazie przejechał linię graniczną. Nie zatrzymując się ani na moment po drodze, doszczętnie nerwowo wyczerpany, sturmbannführer w pół godziny dotarł do Düsseldorfu. Tam dopiero ochłonął i mógł już ze spokojną i odpowiednio do sytuacji poważną twarzą przyjąć meldunek Naujocksa, który zjawił się u niego niebawem.

— W naszych rękach, zgodnie z rozkazem — wył służbowym tonem Naujocks — znajdują się

dwaj Anglicy i jeden Holender. Holender jest ranny.

— Jaki znów Holender? — zaniepokoił się Schellenberg.

— Holender nazwiskiem Klop.

— Ten trzeci Anglik? Ten co był z Anglikami? — poprawił się wiedząc już, o kogo chodzi.

— Tak jest, obersturmbannführer. Ten, który strzelał. Zranił nam dwóch ludzi.

Schellenberg pogratulował sobie. Przeczucie, że Coppens nie jest Anglikiem, było trafne.

— Co to w ogóle za jeden, miał jakieś dokumenty? — zapytał.

— Tak jest. Porucznik Klop, oficer holenderskiego sztabu.

Coppens okazał się więc porucznikiem Klopem, oficerem holenderskiego wywiadu, który bezpośrednio współpracował z Anglikami. Schellenberg uznał to za okoliczność sprzyjającą zamysłom jego berlińskich szefów.

Z Naujocksem miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

— Słuchaj pan — powiedział ostro — co to za idiotę ma pan w oddziale? Zapowiadałem, żeby mnie nie ruszano w żadnym przypadku, a ten bęcwał rzucił się na mnie jak szaleniec i obezwładniłem go dopiero z największym wysiłkiem.

Naujocks uśmiechnął się nieznacznie, znając wydarzenie z relacji Bechera, który kpił z Schellenberga i jego strachu.

— To był nowy człowiek, którego dołączyłem do oddziału ze względu na jego odwagę i niepospolitą siłę. Pan go obezwładnił, obersturmbannführer? Muszę panu pogratulować.

Schellenberg wziął te słowa za dobrą monetę i udobruchał się nieco.

— Niech pan go jakoś, tak czy inaczej, ukarze, Naujocks. Napadanie na przełożonego nawet w takiej akcji jest czymś niesłychanym.

— Tak jest, obersturmbannführer! — Naujocks wyprostował się, wysyłając w duchu Schellenberga do wszystkich diabłów. Ten elegant z przylizaną fryzurą niezbyt mu się podobał. Ani myślał oczywiście o wykonaniu jego polecenia, żałował nawet, że gorliwy oberscharführer nie dał mu solidniej po głowie.

Holenderskiego oficera umieszczono w szpitalu wojskowym w Düsseldorfie, stan jego był bowiem ciężki. Anglików natomiast Schellenberg polecił odtransportować bez zwłoki do Berlina. Sam wybrał się w drogę dopiero w dwa dni później. Musiał zlikwidować swoje gniazdko w Düsseldorfie, nie zdradzał też specjalnej ochoty do ujrzenia Besta i Stevensa. Z przebiegu akcji był o tyle zadowolony, że wyszedł z niej w końcu cało, żal mu jednak było dalekosiężnych planów, których realizację tak brutalnie przerwał Himmler.

Będąc jeszcze w Düsseldorfie, Schellenberg zapoznał się z doniesieniami prasy niemieckiej, która szeroko komentowała zamach w Monachium. Nie pisano nic jeszcze o bezpośrednich sprawcach, wskazywano jednakże niedwuznacznie, że za ich plecami stoi perfidna Anglia, która skrytobójczo chciała zgładzić powołanego przez opatrzność wodza niemieckiego narodu. Jej wspólnikami w tym

nikczemnym dziele byli międzynarodowi podżegacze wojenni i ukryci wewnętrzni wrogowie od komunistów począwszy, a na członkach „Czarnego Frontu" skończywszy. Rozpisywano się wiele na temat fizycznych cierpień ofiar bomby oraz nad nieszczęściem, jakie spotkało wdowy i sieroty po siedmiu zamordowanych. Znajomi z miejscowego urzędu gestapo podzielili się z Schellenbergiem wiadomościami, o których gazety jeszcze milczały: wybuch bomby był dziełem Secret Service'u, ujęto dwóch angielskich szpiegów, którzy organizowali zamach, mając zapewne kontakt z Ottonem Strasserem, gdyż sprawca zamachu został ujęty podczas ucieczki do Szwajcarii.

Schellenberg zrobił wielkie oczy.

— Cóż to za angielscy szpiedzy?

— Są już w Berlinie, nazywają się Best i Stevens — wyjaśniał jeden z jego przyjaciół. — W Berlinie jest też ten Elser z Monachium, ich wspólnik. Udało się złapać szybko całe towarzystwo, ale centrala naciska i to tęgo. Szukamy dalej.

— Czego dalej szukacie?

— Wspólników. Nie mamy tu jeszcze takich, ale na wszelki wypadek zamknęliśmy ze trzydziestu niepewnych. Znaleźć zawsze się coś znajdzie, a w razie potrzeby przyciśnie się któregoś mocniej.

To Schellenberg dobrze już znał. Wyobraził sobie, że w tej chwili na terenie całych Niemiec trwa potężna akcja wszystkich służb policyjnych pod wodzą RSHA.

Rzeczywiście, wszelkie gestapowskie kacyki na

prowincji miały teraz doskonałą okazję do załatwienia zaległych porachunków.

Obersturmbannführer wracał do stolicy z mieszanymi uczuciami. Jego rozterka pogłębiła się, tym bardziej że prasa podała już do wiadomości nazwiska Anglików, oskarżając ich o organizowanie skrytobójczego mordu na Hitlerze i obciążając winą za ofiary monachijskiego zamachu. Wyobrażał sobie reakcję Besta i Stevensa na te zarzuty, bo że zarzuty takie będą im postawione, można było po enuncjacjach prasy być pewnym. Wynikało z tego wszystkiego, że Himmler postanowił wcielać w życie koncepcję, o której Schellenberg dowiedział się od niego w noc poprzedzającą akcję w Venlo.

Kiedy się pojawił w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, odniósł wrażenie, że znalazł się w rozgrzebanym mrowisku. Nigdy jeszcze dotąd Schellenberg nie widział w tym ponurym gmaszysku takiej bieganiny i takiego harmideru. Już pierwsze korytarzowe rozmowy wyjaśniły mu, że chodzi właśnie o zamach, o Anglików, o Elsera, o jawnych i ukrytych wrogów wszelkiego autoramentu, w ogóle o wykrycie nici spisku przeciw führerowi. W sekretariacie Heydricha oświadczono mu, że obergruppenführer przyjmuje właśnie członków specjalnej komisji śledczej, powołanej do zbadania okoliczności zamachu w Bürgerbräukeller, udał się przeto do Himmlera. Reichsführer był jednak nieobecny, wyjechał do Tegel pod Berlinem, gdzie mieściło się specjalne tajne laboratorium Abwehry, przygotowujące materiały do akcji sabotażowych. Schellenberg uniósł

brwi w zdziwieniu: czyżby Himmler podejrzewał i Canarisa o udział w zamachu?...

Dysponując czasem, zatroszczył się o Besta i Stevensa, nie pokazując się im wszakże na oczy. Anglicy spędzali czas w osobnych pomieszczeniach i, jak poinformowano sturmbannführera, znajdowali się w stanie krańcowego przygnębienia. Schellenberg tak sobie właśnie wyobrażał stan ich uczuć. Niełatwo było jego przeciwnikom znieść gorycz klęski, jaką ponieśli.

Następnego dnia, oczekując wraz z Naujocksem na przyjęcie przez Himmlera, Schellenberg wdał się w rozmowę z jego adiutantem, a swoim dobrym znajomym, standartenführerem von Alvenslebenem. Ten nie taił bynajmniej, że wyprawa Himmlera do laboratorium w Tegel miała właśnie ten cel, o jakim Schellenberg myślał. Reichsführer SS niespodziewanie powiadomił szefa Abwehry, admirała Canarisa, o swym zamiarze. Wraz z nim oraz szefem oddziału sabotażu i dywersji Abwehry, pułkownikiem Lahousenem i Alvenslebenem udał się natychmiast do Tegel, gdzie spędził ładnych parę godzin.

— Reichsführer dopytywał się tak natarczywie o wzory i części angielskich maszyn piekielnych — opowiadał Schellenbergowi Alvensleben — że Canaris zapytał go w końcu wprost, czy łączy on działalność Abwehry z monachijską bombą. Na to reichsführer powiedział, że ma do Abwehry duże zaufanie, ale zbadania sytuacji w Tegel życzył sobie sam führer. Sytuacja była dość napięta, w końcu jednak obaj panowie jakoś się pogodzili, a reichsführer począł dawać nawet Canarisowi dobre rady na przyszłość.

— Ciekawe — zauważył Schellenberg. — A cóż to za rady?

— Nie pamiętam już wszystkiego, ale reichsführer wspomniał admirałowi między innymi o pewnym swoim pomyśle. Chodziło o to, aby agenci Abwehry działający we Francji dosypywali do wina przeznaczonego dla żołnierzy francuskich środki przeczyszczające. W ten sposób można byłoby osłabić siłę armii francuskiej.

— To proponował reichsführer? — zapytał z niedowierzaniem Schellenberg. — Chyba żartował.

— Może i żartował, ale Canaris i Lahousen przyjęli to poważnie — wyjaśnił Alvensleben. — Na wojnie każda broń jest dobra. To wcale nie byłoby takie złe: my na przykład atakujemy, a Francuzi nie stawiają oporu. Cóż się okazuje? Po prostu wszyscy są w latrynach. Dobre, co? — Standartenführer zaśmiał się. — Reichsführer bardzo się znów zainteresował pewnym wynalazkiem chemików Abwehry. Skonstruowali oni świetny chemiczny detonator do sabotażu w samolotach. Proszę sobie wyobrazić, że może on wybuchać na określonej wysokości wskutek zmniejszonego ciśnienia powietrza. Gdyby tak dostać w ten sposób... — rozmarzył się Alvensleben.

Schellenberg zapytał o rezultaty rozmów Heydricha z komisją śledczą. Standartenführer był i o tym poinformowany.

— Dość głupia historia. Reinhardt ich rozpędził,

ponieważ paru naszych, nawet dobrych ludzi, poczęło mu wmawiać, że bomba nie mogła wybuchnąć od jej mechanizmu zegarowego. Śmieli się w ogóle z jakiegoś budzika, którego szczątki poznajdywali. Reinhardt zdenerwował się, nazwał komisję świńską bandą i posłał do Monachium Kaltenbrunnera z Wiednia. No, ten na pewno pokaże, jak się prowadzi śledztwo...

— Z pewnością — przyznał Schellenberg, myśląc, że cały zamach poczyna rozsiewać wokół siebie podobny zapach, jaki unosił się już nad sprawą Besta i Stevensa. Z drugiej jednak strony nie mógł sobie wyobrazić, aby Heydrich i Himmler poszli aż tak daleko. Ostatecznie Heydrich rozpętał prawdziwą burzę w poszukiwaniu sprawców, a Himmler nie wahał się zajrzeć aż do diabelskiej kuchni Canarisa. Zamach mógł być doprawdy dziełem komunistów czy „Czarnego Frontu" Strassera, a nawet Anglików. W jedno tylko Schellenberg wątpił zdecydowanie — w to mianowicie, że maczali w nim palce Stevens i Best.

Himmler wyraził Schellenbergowi i Naujocksowi pełne swe zadowolenie z akcji w Venlo i zapowiedział przyjęcie jej wszystkich uczestników przez samego Hitlera. Führer chciał wyrazić im osobiście wdzięczność za przychwycenie organizatorów zamachu na jego życie.

— Pozwolę sobie zauważyć, reichsführer — odważnie wystąpił Schellenberg, gdy Himmler zamknął już usta — że osobiście nie wierzę w udział dwóch Anglików w tym zbrodniczym przedsięwzięciu. Zdążyłem ich dobrze poznać...

Naujocks spojrzał na niego ze strachem.

— Drogi Schellenberg — rzekł spokojnie Himmler. — Jest pan jeszcze zbyt młody i naiwny, tymczasem ja mam i doświadczenie, i możliwości, które pozwalają mi popatrzeć szerzej na całą sprawę. Jeśli ja oświadczam, że Best i Stevens brali w tym udział, dalsza dyskusja staje się zbyteczna. Niech pan sobie wyobrazi, że Elser przyznaje się do winy i do kontaktu z Anglikami i ludźmi Strassera. Przeciwko tym dwóm bezczelnym intruzom wytoczymy proces, a Elser wystąpi na nim jako świadek koronny. Zrozumiał pan? Jeśli pan to zrozumiał, niech się pan uda do Heydricha, który wyjaśni panu inne istotne szczegóły. Zdążę go jeszcze poprosić, aby rozproszył pana wątpliwości bez reszty.

Schellenberg pozbył się jednak wątpliwości jeszcze przed rozmową z Heydrichem, po którym nie można było oczekiwać wiele dobrego. Prasa niemiecka potwierdziła niebawem w oficjalnym komunikacie to, o czym wspomniał Himmler: sprawcami zamachu, to znaczy Elserem, Bestem i Stevensem, zajmie się sąd.

— Obawiam się tylko — zauważył Schellenberg, gdy Heydrich udzielał mu dyrektyw w sprawie badań oficerów brytyjskich — że oni nie przyznają się do winy ani w śledztwie, ani na procesie.

— Ale Elser ich rozpozna, co wtedy? — Heydrich zmrużył oczy w charakterystyczny dla siebie sposób. — Ostatecznie nikt się nie zdziwi, że oskarżeni nie przyznają się do winy, ale właśnie pana zadanie polega na tym, aby się oni do winy

przyznali. Jeśli się panu to nie uda, daję słowo, że dokona tego Müller. Jak pan wtedy będzie wyglądał, Schellenberg? Daję panu poważną sprawę, to prawda, ale wierzę, że potrafi pan sobie poradzić... Niech pan przy tym nie zapomina, aby nadal wyciągać z obu, co się tylko da o ich kontaktach z generałami. Jestem pewien, że oni muszą coś wiedzieć. To bardzo dla mnie ważne — zastrzegł.

Schellenberg zbyt dobrze znał niechęć, a w niektórych przypadkach nawet nienawiść Heydricha do starej generalicji, aby wątpić w szczerość ostatnich słów swego szefa.

Obersturmbannführer, sam nie czując się na siłach, wyznaczył do śledztwa najzdolniejszych pracowników wydziału wywiadowczego, ale ani Best, ani Stevens nie zdradzali najmniejszej ochoty na przyznanie się do wmawianej im winy. Przy każdym przesłuchaniu dopytywali się natomiast sami, czy kapitan Schaemmel był postacią autentyczną, czy też agentem niemieckim. Schellenberg usiłował wyzyskać to jako powód do uniknięcia osobistego spotkania z Anglikami, ale wywierany poprzez Heydricha nacisk Hitlera zmusił go wreszcie do tego, że polecił przyprowadzić do siebie najpierw kapitana Besta.

Angielski szpieg ani nie mrugnął okiem, ujrzawszy znów „kapitana Schaemmela", co nie bez uznania dostrzegł Schellenberg.

— Cóż, kapitanie, wyprowadziliśmy was w pole — powiedział Niemiec. — Wiedzieliśmy o waszych konszachtach, szkoda tylko, że interwencja

nasza była zbyt późna, to znaczy nastąpiła już po zamachu.

Best spojrzał Niemcowi wprost w oczy.

— Jest pan bardzo sprytny, to muszę przyznać, ale niech pan sobie wybije z głowy, abym przyznał się panu do tego, co byli uprzejmi zarzucić mi pańscy koledzy.

Kapitan wytrzymał wielogodzinne badanie, podobnie zachował się Stevens. „Anglicy z pewnością nie mają nic wspólnego z zamachem — meldował Schellenberg Heydrichowi. — Mam swoje sposoby". Heydrich odpowiedział: „Myślę, że Müller ma lepsze sposoby, znam go od dawna. Przekonajmy się o tym. Niech się pan skontaktuje z Müllerem, a przy tej okazji niech pan zapozna się ze sprawą Elsera. To się panu przyda".

Nim jednak Schellenberg zdołał wykonać to polecenie, wezwano go do Kancelarii Rzeszy wraz z Naujocksem i wszystkimi pozostałymi esesmanami z Venlo. Przyjął ich sam Adolf Hitler.

Schellenberg po raz pierwszy od rozpoczęcia wojny przyjrzał się z bliska führerowi i dostrzegł od razu wyraźne oznaki znużenia na jego twarzy. Było oczywiste, że znużenie to nie wypływa jedynie z nadmiernych obowiązków, ale ma podkład chorobowy. Organizm Hitlera zżerał powoli, ale widocznie, jakiś jad.

Teraz führer stanął wraz z Himmlerem przed szeregiem, na którego prawym skrzydle zajął miejsce Schellenberg. Dalej stał Naujocks, Becher i reszta bandy porywaczy.

Nie mogło się obejść bez przemówienia, leżało ono w zwyczajach Hitlera. Złożył podziękowanie

wszystkim, podkreślając, że zdecydowanie i odwaga zespołu sprawiły mu największą radość. Mówił to już po zapoznaniu się z notą rządu holenderskiego, protestującą przeciwko pogwałceniu granic Holandii przez uzbrojony oddział.

— Wywiad brytyjski ma za sobą bogate tradycje i ogromne doświadczenie — ciągnął. — Reprezentuje przede wszystkim wyjątkową, znaną na całym świecie przebiegłość. Tym bardziej więc na uznanie zasługuje wasz sukces, tym większe ma on znaczenie. Przykład wasz dowodzi, że potrafimy zniszczyć każdego, kto tylko nam się przeciwstawia, choćby był najchytrzejszy i najsilniejszy. Doceniam w pełni wasz sukces, doceniam także wagę tajnego frontu, również ważnego i odpowiedzialnego, jak front na polach bitew, dlatego, po raz pierwszy w historii niemieckiego wywiadu i kontrwywiadu, postanowiłem odznaczyć żołnierzy tajnej służby Krzyżami Żelaznymi. Wy je otrzymacie.

Schellenberg otrzymał Krzyż Żelazny pierwszej klasy, tak samo jak Naujocks, i przyjął to z dość kwaśną miną. Fakt odznaczenia podoficera, który go tak brutalnie potraktował w Venlo, zdenerwował go nawet. Humor poprawił mu się dopiero, gdy po wyjściu od Hitlera Himmler zakomunikował mu, iż został awansowany do stopnia standartenführera SS, odpowiadającego stopniowi pułkownika.

Po dekoracji Hitler wdał się w krótką rozmowę z Schellenbergiem.

— Jestem bardzo panu wdzięczny za tę akcję — powiedział. — Dochodzę bowiem do wniosku, że właśnie ci oficerowie brytyjskiego wywiadu byli sprężyną zamachu na mnie. Jest możliwe, że współdziałali z Otto Strasserem. Niech pan sobie wyobrazi, że ten Elser na parę dni przed zamachem udał się do Szwajcarii i spotkał się tam z jakimiś ludźmi. Z jednej więc strony Niemiec Strasser, z drugiej strony Anglicy. Przyczaili się nad granicami, jak pająki, roztaczając swą sieć. Mogę dziękować tylko opatrzności, że pozwoliła mi ocaleć. Czy nie uważa pan, Schellenberg, że służba bezpieczeństwa szybko poradziła sobie z zamachowcami? Pogadajcie teraz z nimi tak, aby na przyszłość nikt nie odważył się już więcej na takie zbrodnie.

Schellenberg przytakiwał grzecznie wodzowi, w myśli jednakże z dużą obawą myślał o tym, jak potoczy się śledztwo. Wszelkie sugestie Hitlera nabierały mocy żelaznych praw, którymi kierując się ludzie typu Müllera mogli pójść po zupełnie fałszywej linii postępowania.

Niezwłocznie więc po dekoracji nowo kreowany standartenführer ruszył do Müllera, ciekaw, co nowego osiągnął szef gestapo, uchodzący w kierowniczych kołach państwa za mistrza w prowadzeniu śledztwa. Wiadomo było, że Elser przyznawał się do podłożenia bomby, wspomniał też o dwóch wspólnikach. Wykluczone jednak było, aby mógł się kontaktować z Bestem i Stevensem na terenie Monachium, nie myślano więc w ogóle o dokonaniu konfrontacji, uznając, że mogłaby ona przynieść więcej ewentualnej szkody niż pożytku. W grę mogli wchodzić jacyś pośrednicy. Heydrich i Himmler napomykali, że najprawdo-

podobniej wojskowi, a czynili to niekiedy tak ostentacyjnie, że oczywiście wieść o tym dotarła do Abwehry, a stamtąd do sztabu generalnego, gdzie wywołała zrozumiałe zaniepokojenie.

Szefowi gestapo daleko było do dobrego humoru, a gdy Schellenberg przystąpił do rzeczy, jego blada twarz stała się ponura.

— Sam nie wiem, co robić z tym człowiekiem — wyznał z niechęcią w głosie. — Jego zeznania zgadzają się, ale odpowiada na pytania tak, jakby się tego po prostu wyuczył. Stale powraca do tych samych historii: brat w obozie, kochał tego brata, więc postanowił się zemścić. Bombę zrobił sam, ale materiał otrzymał od jakiegoś człowieka w Monachium. Opisuje tego człowieka z najdrobniejszymi szczegółami, mogłem więc wysłać listy gończe. Niech pan sobie wyobrazi, drogi Schellenberg, że znaleziono mi takich kilkuset we wszystkich miastach Rzeszy. Widocznie każdy urząd gestapo uważał za swój patriotyczny obowiązek wyszukanie wspólnika Elsera. Niektórych tak usilnie proszono o przyznanie się do winy, że oczywiście rozstali się już z tym światem. Diabli wiedzą, czy przy tym nie posłano do nieba jakiegoś prawdziwego zamachowca. Zwariować można. Ten Elser był w Szwajcarii, tam znów z kimś rozmawiał, ale gdy dostał zdjęcia Strassera i jego najbliższych ludzi, zaczął wyraźnie kręcić. Chyba jednak możliwe, że miał coś ze Strasserem do czynienia...

— Ze Strasserem możliwe, ale z Bestem i Stevensem z pewnością nie — wtrącił Schellenberg. — To czysty nonsens.

— Radziłbym panu wstrzymać się z takimi opiniami — rzekł Müller. — I reichsführer, i Heydrich sugerują mi, abym wykrył właśnie te powiązania, a do tego wszystkiego dołączył jeszcze komunistów i naszych generałów. Pan sobie wyobraża taki spisek? — Müller zaśmiał się nerwowo. Że nikt jeszcze nie wpadł i na taki pomysł... Dowcip polega na tym, że ja mam znaleźć dowody, bo bez tego trudno mówić o procesie, a nie będziemy mogli przecież wszczynać procesu z jednym tylko Elserem jako świadkiem oskarżenia, w dodatku także oskarżonym.

— Czy Elser zna się w ogóle na budowaniu bomby, zbadał pan to, gruppenführer? — zadał nieoczekiwane pytanie Schellenberg.

— Pan nie jest głupi, Schellenberg — zauważył Müller z uznaniem, bystro spoglądając na swego gościa. — Mnie to przyszło od razu na myśl, Heydrichowi również. Kazałem więc zrobić tu taką samą kolumnę, jakie są w Bürgerbräukeller, przygotowałem materiał, narzędzia. Zawołałem potem Elsera i kazałem robić mu to wszystko, o czym nam tak pięknie opowiadał. Niech pan sobie wyobrazi, że zrobił wszystko... I nie mam punktu zaczepienia, nie mogę nic znaleźć!

Müller zacisnął szczęki.

— Ale nigdy jeszcze nie miałem człowieka, którego bym w końcu nie złamał — dorzucił. — Dałem mu już raz trochę dobrego lekarstwa — gruppenführer pokazał znacząco pięść — ale Heydrich zakazuje stosować go więcej. Mówi, że potrzebuje Elsera zdrowego i całego na procesie.

— To byłoby raczej pożądane — zauważył Schellenberg, wyobrażając sobie bez trudu lekarstwa Müllera.

— Proces! — skrzywił się lekceważąco szef gestapo. — Można by zrobić proces zamknięty, można by nie robić żadnego procesu, można by podstawić zamiast Elsera kogoś innego...

— Niech pan nie zapomina, że pozostają sędziowie...

Müller dokończył:

— Można by dać w końcu właściwych sędziów.

— Możliwości rozwiązania sprawy jest istotnie wiele — przyznał Schellenberg — ale po co one, skoro jest autentyczny sprawca zamachu i w dodatku sam przyznaje się do wszystkiego.

— Ale pan nie wie, co wyprawia ze mną Himmler! — wybuchnął Müller. — On sam teraz chce kierować wszystkim, bo tak mu polecił führer. Ja jestem z zawodu urzędnikiem policji i mnie o moich obowiązkach pouczać nie trzeba.

Schellenberg zaczekał, aż gruppenführer uspokoi się, a potem począł mu relacjonować sprawę Besta i Stevensa. Ku jego zdziwieniu Müller z chęcią przystał na propozycję przejęcia przez niego dalszych badań. Myśl, że kolejnymi ofiarami jego śledczych metod staną się autentyczni, wysoko cenieni agenci angielskiego wywiadu, przejęła go tak bardzo, że nie potrafił opanować zadowolenia i Schellenberg miał rzadką okazję zobaczenia uśmiechu na twarzy naczelnego herszta gestapo.

Następnego dnia Himmler powiadomił standartenführera, iż ma on złożyć Hitlerowi, na jego

osobiste życzenie, bezpośrednią relację z akcji w Venlo. Spotkanie z führerem odbyło się tego samego dnia wieczorem w Kancelarii Rzeszy, a przybyły na nie nie byle jakie persony faszystowskich Niemiec: Himmler, Hess, Keitel, Heydrich. Za Hitlerem jak cień snuł się Martin Bormann, jego osobisty sekretarz. Schellenberg czuł się w tym towarzystwie sztywno, pochlebiało mu jednak, że zawędrował aż tak wysoko, i przestał sobie już wyrzucać przerwanie swej szpiegowskiej misji w Holandii.

Temat Venlo poruszył Hitler po dłuższym dopiero czasie nawiązując do tego fragmentu raportu Schellenberga, w którym starał się on kwestionować możliwość kontaktu Besta i Stevensa z Elserem. Führer wspomniał o tym z niezadowoleniem. Schellenberg przezornie milczał, czekając, aż się wypowiedzą inni.

Himmler zorientował się, o co Hitlerowi chodzi.

— *Mein führer*, wywiad angielski mógł kierować Elserem w przeróżny sposób, ale niekoniecznie musieli brać w tym udział Best i Stevens, chociaż ich przybycie do Holandii akurat w tym okresie czasu budzi zastanowienie. W każdym razie Elser przyznał, że kontaktował się w Niemczech najpierw z jednym, później z dwoma ludźmi. Jego pobyt w Szwajcarii wskazuje, że maczał we wszystkim palce ten przeklęty Strasser.

— On jest od dawna na angielskim żołdzie — rzucił Hess.

— Tak, mamy na to dowody — potwierdził Himmler. — Jedno jest pewne, materiał wybuchowy i sama bomba były pochodzenia angiel-

skiego. Taka jest ocena ekspertów. Jedyna inna możliwość jest wykluczona, sam to sprawdziłem.

Schellenberg zwrócił uwagę, że Heydrich przez cały czas nie spuszcza oczu z Hitlera, jak gdyby badając jego zachowanie. I Hitler musiał to dostrzec, bo niespodziewanie zwrócił się do obergruppenführera:

— Heydrich, muszę koniecznie wiedzieć, jakie motywy kierowały tym Elserem. W grę wchodziła tylko moja osoba. Niech pan się zastanowi nad zastosowaniem takich środków, które by wreszcie wyciągnęły ostateczną prawdę z tego przestępcy. Użyjcie wszystkich środków.

— Wszystkich, *mein führer?* — spytał Heydrich.

— Mam na myśli wszystkie środki, które daje nam nauka. Niech wam pomogą lekarze, użyjcie hipnozy, wszystkiego, co chcecie. O jedno mi chodzi: muszę wiedzieć, kto stał za tą sprawą, kto nią kierował. Elser to tylko narzędzie!

Schellenberg dostrzegł, że w tym momencie po twarzy Heydricha przesunął się cień uśmiechu.

Rozmowa przeszła na tematy wojskowe, Hitlerowi przyniesiono jakiś raport od Jodla.

— Nie obawiam się Francuzów i dziwię się, że ktokolwiek może żywić jeszcze jakąś przed nimi obawę. — Hitler uderzył dłonią w papiery. — Nasza przewaga jest ogromna, a jeśli chodzi o haubice, zrekompensujemy to lotnictwem i czołgami. Gdy porównuję czołgi francuskie z naszymi, już widzę Guderiana nad kanałem La Manche.

W tym właśnie momencie Schellenbergowi wyrwało się pytanie:

— A co będzie z Anglią, *mein führer?*

Hitler spojrzał na niego, jak gdyby ujrzał standartenführera pierwszy raz w życiu.

— A, nasz beniaminek — w jego oczach widać było zdziwienie. — Pyta pan o Anglię? Żałuję, że zostaliśmy wciągnięci do wojny z Anglią, gdy inni nasi wrogowie oczekują naszego wykrwawienia. Właśnie dlatego nie pragnę zniszczenia Anglii i nigdy nie będę tego pragnął. Skoro jednak Anglia wypowiedziała nam wojnę, zmuszę ją do tego, by uznała, że Niemcy mają prawo do życia. Będę walczył więc na Zachodzie dotąd, dopóki Anglia sama nie zwróci się do nas z propozycją zawarcia pokoju. Oto, co będzie z Anglią.

Ośmielony Schellenberg wdał się w rozważania na temat różnic między Anglikami i Niemcami.

— Taka wojna jak ta — zakończył — toczyć się może jak lawina. Kto potrafi siłę tej lawiny obliczyć, by ją w odpowiednim czasie powstrzymać?

Hitler uśmiechnął .się.

— Mój drogi Schellenberg, zostaw mnie to zmartwienie. Czy rozmawiał pan z Ribbentropem w sprawie tego holenderskiego oficera, który zmarł w szpitalu? — Schellenberg zaprzeczył, Hitler zwrócił twarz do Heydricha: — Ci Holendrzy są doprawdy głupi. Gdybym był na ich miejscu, siedziałbym cicho i nie robił wiele hałasu, w każdym razie nie wysyłałbym żadnych wielkich not. Tylko patrzeć, jak im za to odpłacimy, i dobrze

to odczują na własnej skórze. Zresztą co za noty? Sami przyznają, że z angielskimi oficerami współpracował oficer ich sztabu generalnego na terytorium Holandii. Kto więc naruszył najpierw neutralność Holandii? Oczywiście Anglicy. Śmieszna historia i nie warto byłoby się nią zajmować, gdyby nie to, że kiedyś *może* się ona nam przydać.

Hitler wstał i skinął na Himmlera.

— Mam kilka spraw do ciebie...

Schellenberg spojrzał na Heydricha. Przymrużone oczy szefa RSHA odprowadzały wychodzących aż do drzwi. Prawdopodobnie wiele dałby on za to, aby dowiedzieć się, o czym obaj wodzowie Rzeszy będą mówili.

A rozmowa ta była istotnie nader ciekawa i dotyczyła dalszego ciągu prowokacji, zapoczątkowanej w nocy z 5 na 6 listopada.

Himmler złożył relację z opinii, jakie krążyły wokół zamachu. Akcja w Venlo i wykorzystanie Anglików w akcji propagandowej znakomicie sprzyjały utworzeniu takiej atmosfery wokół zamachu, o jaką właśnie chodziło.

— Heydrich spisał się dobrze. Dostarczył tak wytresowanego człowieka, że nawet Müller nie może go rozgryźć.

— Müller się niczego nie domyśla? — zainteresował się Hitler.

— Z pewnością nie. Sam daję mu wskazówki co do śledztwa.

— Nie należy dopuścić do tego, żeby ktokolwiek wpadł na jakiś ślad. Heydrich może być ostatnim człowiekiem, który coś o tym wie.

Himmler namawiał swego wodza, aby ze sprawą związać jeszcze jakiegoś generała. Jego zdaniem rozwiałoby to raz na zawsze wszelkie opory generalicji, a mogłoby stać się też podstawą do ewentualnej akcji w przyszłości.

— To nie jest w tej chwili potrzebne — zawyrokował Hitler. — Opory już się rozwiały. Po zamachu przychodzili tu jeden za drugim jak psiaki, gotowi lizać buty. Wprost przykro było mi patrzeć, jak się płaszczyli. Miałem kiedyś lepszą opinię o niemieckiej generalicji. W każdym razie odechce im się teraz narzekań, a Anglikom otworzą się oczy na to, jaka to jest tu opozycja.

Obaj postanowili w końcu kontynuować farsę badania Elsera i schwytanych Anglików, było to konieczne przez jakiś czas, potem Himmler ulokować miał wszystkich trzech w obozach koncentracyjnych. Zamach wpłynął wychowawczo na generalicję, ale jej wychowywanie na tym nie mogło się zakończyć. Ponieważ prognozy meteorologiczne nie wróżyły poprawy pogody i ofensywa nie mogła się rozpocząć, Hitler postanowił zorganizować w najbliższym czasie cykl wykładów uświadamiających dla generałów i wyższych oficerów sztabowych, co byłoby wydarzeniem bez precedensu w dziejach Wehrmachtu.

— Powiem im, co o nich myślę — postanawiał Hitler. — A jeśli się któryś temu sprzeciwi, rozprawimy się z nim dla przykładu.

— Teraz chyba nikt z nich słówkiem nie piśnie — nie bez żalu stwierdził Himmler. — Każdy już rozumie, że jakikolwiek opór, to solidaryzo-

wanie się z wrogiem. Możemy się tylko cieszyć, że ci dwaj Anglicy wpadli nam w ręce...

Heydrich tymczasem nadal bił się z myślami. Hitler zachowywał się tak, że nie sposób go było posądzić o udział w zamachu na samego siebie. A jednak Heydrich wiedział, że führer potrafi być, kiedy trzeba, bardzo zdolnym aktorem. W jego pamięci dobrze utkwiła pewna scena. Gdy likwidowano kierownictwo oddziałów szturmowych z Röhmem na czele, Hitler zatwierdził sam listę tych, których miano zamordować. Na liście znalazł się również jego wieloletni przyjaciel, Gregor Strasser. Heydrich skrupulatnie wykonał zadanie. Gdy potem przedstawiono listę ofiar Hitlerowi, ten, znajdując się w gronie kilkunastu dostojników partyjnych, na widok nazwiska Strassera począł rozpaczać i złorzeczyć tym, którzy dopuścili się „pomyłki". Czy Hitler i teraz grał komedię?...

Reinhardtowi Heydrichowi nie udało się nigdy na to pytanie znaleźć odpowiedzi, choć bardzo się o to starał aż do ostatnich dni swego nikczemnego żywota.

I on sam musiał grać komedię, przede wszystkim wobec gorliwego Mullera, który gotów był rozszarpać Elsera na sztuki. Heydrich hamował skutecznie te zapędy, wykonując zaś zalecenie Hitlera przysłał szefowi gestapo kilku hipnotyzerów, których nie omieszkał poinstruować, nim przystąpili do dzieła. W efekcie Elser udzielał pod hipnozą dokładnie tych samych odpowiedzi, co na jawie.

Heydrich wziąwszy z sobą Schellenberga, który ciekaw był widoku Elsera, udał się do gmachu

gestapo, aby osobiście wziąć wreszcie udział w kolejnym przesłuchaniu.

Więzień odpowiadał na wszelkie pytania, gdy jednak dotyczyły one sprawy zamachu, reagował istotnie stereotypami. Były to odpowiedzi krótkie, zwarte, identyczne z tymi, jakie Heydrich miał już okazję słyszeć w ustronnej willi pod Monachium.

— Cóż to byli za ludzie, ci twoi pomocnicy? — pytał Elsera.

— Nie znam ich.

— Wierzyłeś w to, że zamach ci się uda?

— Tak. Zrobienie bomby to nietrudna dla mnie rzecz.

— Jak długo nad nią pracowałeś?

— Przeszło rok.

Heydrich uśmiechnął się z ironią. Müller stał obok, poruszając szczękami w złości. Widać było, że odpowiedzi Elsera wprawiają go w najwyższe zdenerwowanie. Schellenberg z żywą ciekawością obserwował zamachowca.

— Co powiedzieli hipnotyzerzy? — zapytał Heydrich Müllera, gdy opuścili celę.

Gruppenführer machnął ręką.

— W ogóle nie umieli go uśpić. Ta cała hipnoza jest diabła dla nas warta. Jeden znów począł udowadniać bardzo naukowo, że Elser jest kimś w rodzaju Herostratesa. Zapamiętałem sobie tych panów i myślę, że spotkam się jeszcze z nimi. Zobaczymy, czy potrafią mnie zahipnotyzować. To zwykli oszuści!

Badanie Elsera było oczywistą stratą czasu, ale trzeba je było prowadzić dalej. Heydrich musiał się również osobiście zainteresować Anglikami,

gdyż Himmler wpadł niebawem do niego jak bomba, żądając wywarcia większego na nich nacisku.

— Führer uznał za niemożliwe, aby Elser sam dokonał zamachu — oznajmił podnieconym głosem. — Pan sobie wyobraża, czym to może panu grozić? Niech pan coś wydusi z tych szpiegów, führer nie rezygnuje z propagandowego procesu!

Heydrich, chcąc nie chcąc, zawezwał Müllera, aby ten zdał relację z dotychczasowego śledztwa. Podobnie jak Schellenberg, i on nie zdziałał wiele. Anglicy przeczuwali, co ich może czekać w przypadku jakiegokolwiek ustępstwa na rzecz Niemców, i trzymali się mocno, choć Müller wykazał całą swą sztukę, nabytą w ciągu wielu lat tropienia wrogów Hitlera i hitleryzmu.

— Niech pan przyprowadzi ich do mnie — rozkazał Heydrich.

Müller zapytał z głupia frant:

— Razem czy pojedynczo?

— Idź pan do diabła, Müller! — wrzasnął Heydrich. — Teraz nie czas na głupie żarty.

Tę samą metodę zastraszenia krzykiem, która tak doskonałe skutki dawała w stosunkach z podwładnymi, postanowił Heydrich zastosować podczas swych rozmów z Anglikami.

Gdy Müller przyprowadził do jego gabinetu Payne-Besta, Heydrich zerwał się z miejsca, podbiegł do kapitana i począł wołać na cały głos:

— Obchodziliśmy się z panem cały czas, jak z oficerem i dżentelmenem. Ale ja mam już tego dość! Jeśli pan będzie zachowywał się tak samo, jak dotąd, skończę z panem! Daję panu dwie godziny czasu do namysłu, aby pan przyznał się do wszystkiego! Rozumie pan? — Heydrich podniósł w górę dwa palce. — Dwie godziny! Jeśli po upływie tego czasu nie będzie pan mówił, oddam pana w ręce gestapo i każę odpowiednio potraktować, a tam już sobie poradzą z takim gangsterem i szpiegiem. Nie będzie pan zadowolony, daję panu słowo!

Best spoglądał chwilę bez słowa na obergruppenführera, a potem zwrócił się do stojącego przy nim Müllera:

— Kim jest ten podniecony, młody oficer? — zapytał jak najczystszą niemczyzną, aby Heydrich, którego twarz poznał z porozwieszanych wszędzie portretów, dobrze go zrozumiał.

Heydrich wydał z siebie prawdziwy ryk, parskając śliną. Müller, który znał zbyt dobrze swego szefa, bez słowa złapał Besta za rękę i wyciągnął czym prędzej z pokoju.

Szef RSHA długo nie mógł przyjść do siebie po tym incydencie. Był zbyt mądry na to, aby nie pojąć, że Anglik swe pytanie zadał celowo. Fakt, że świadkiem zajścia był Müller, przyprawiał go o wściekłość. Ze Stevensem postanowił porozmawiać sam i Müller, przyprowadziwszy Anglika, oddalił się.

Heydrich zastosował znów porcję wymyślań, ale ponieważ Stevens w ogóle się nie odzywał, wezwał do gabinetu Müllera.

— Dlaczego ten drab nic nie mówi?

— On odpowiada tylko wtedy, gdy się do niego mówi po angielsku — odpowiedział Müller, z trudem powstrzymując uśmiech. Szef gestapo odczu-

wał w duchu pełne zadowolenie z niepowodzeń szefa.

— Dlaczego on tak wrzeszczał? — pytał później Stevens Mullera. — Przecież mogliśmy spokojnie porozmawiać, z wyglądu jest nawet dość sympatyczny.

Müller powiedział mu to samo, co przedtem Bestowi:

— Żeby zjeść zupę, trzeba ją przedtem ugotować.

Dalsze badania Anglików nie przyniosły również rezultatów. Nie ukrywali swej działalności w Holandii, ale wszelkie próby zmuszenia ich, by przyznali się do udziału w zamachu na Hitlera — zawodziły.

Georg Elser zaś, „sprawca" zamachu, nadal nic mówił nic więcej nad to, co mówić mu kazano. Nawiasem mówiąc, od chwili aresztowania nie ujrzał nigdy więcej swego czerwonolicego opiekuna z Monachium i Dachau. Heydrich nie zapomniał i o tym szczególe.

EPILOG

Był już 20 listopada.

Do Berlina zjechała się na rozkaz führera i naczelnego dowódcy sił zbrojnych, Adolfa Hitlera, cała niemiecka generalicja, aby wysłuchać cyklu wykładów mających ugruntować w niej światopogląd hitlerowski. Goering śmiał się, mówiąc, że gdyby teraz nieprzyjaciel zaatakował Rzeszę, nie miałby kto dowodzić wojskami. „I wielkiej szkody

by nie było — dodał — same wojska obroniłyby się znacznie szybciej".

Lekceważący ton wobec generałów starszej daty, wywodzących się jeszcze z cesarskiego korpusu oficerskiego, a teraz grupujących się głównie w dowódczych sferach wojsk lądowych, dał się odczuć już w pierwszych referatach, wygłaszanych przez czołowych działaczy partyjnych. Nie spodziewano się wszakże, by lekceważenie to i nieufność mogły być aż tak mocno akcentowane. Każdy z mówców zaznaczał, że wobec generałów lotnictwa i admirałów zastrzeżeń politycznych być nie może. Minister propagandy, Goebbels, wychwalał wprost Goeringa jako dowódcę Luftwaffe. Jego zdaniem marszałek był nie tylko świetnym fachowcem wojskowym, ale i znakomitym wychowawcą swych kadr generalskich w duchu oddania dziełu führera. Odnosiło się to także do kadry dowódczej marynarki wojennej, sprawa natomiast przedstawiała się gorzej z generalicją wojsk lądowych, nad czym Goebbels wielce ubolewał. Goering w swym referacie, nie bawiąc się w żadne subtelności, wysunął całą porcję zarzutów powodując wśród słuchaczy już nie konsternację, ale prawdziwy popłoch.

Ten pogrom generałów wojsk lądowych ukoronowało wygłoszone 23 listopada przemówienie samego Hitlera.

Jak na wstępie oświadczył Hitler, celem jego spotkania z generalicją było danie jej możliwości wglądu w świat jego myśli, które go trawią w obliczu aktualnych wydarzeń, oraz — oczywiście i przede wszystkim — przekazanie jego posta-

nowień. Hitler przypomniał, że gdy w roku 1933 objął władzę, miał za sobą okres ciężkich walk. Z kolei jednak musiał tworzyć w Niemczech wszystko na nowo, w tym Wehrmacht. — „Było wtedy wielu proroków — mówił — którzy wróżyli nieszczęścia, mało było wierzących". Gdy zdecydował się na wystąpienie Niemiec z Ligi Narodów, ostrzegano go; gdy wprowadzał powszechną służbę wojskową, krakano złowróżbnie, gdy dał rozkaz zajęcia Nadrenii, uznano to za niemożliwe.

— Później przyszła kolej na Austrię, również ten krok uznano za bardzo wątpliwy. Tymczasem Rzesza uległa wzmocnieniu. Następny krok to Czechy, Morawy, a później Polska. Trudno było tego dokonać za jednym zamachem... Decyzja wkroczenia do Czech zapadła. Potem utworzono Protektorat i w ten sposób stworzono bazę do zdobycia Polski, ale wówczas jeszcze nie było jasne dla mnie, czy powinienem najpierw iść na wschód, a potem na zachód, czy odwrotnie... Długo się nad tym zastanawiałem. Nie po to stworzyłem Wehrmacht, aby nie walczyć. Postanowienie prowadzenia walki tkwiło we mnie zawsze. Okoliczności zadecydowały, że uderzenie nastąpiło na wschodzie. Jeśli wojna polska tak szybko się rozstrzygnęła, to wynikło to z przewagi naszego Wehrmachtu. Najpełniejsze chwały zjawisko naszej historii... Zaistniała sytuacja, która wydawała się uprzednio nieosiągalna.

Tak więc dając przegląd minionych wydarzeń, Hitler starał się podkreślić, że wszystkie sukcesy osiągnął mimo złych prognoz pewnych proroków.

Nie wymienił przy tym żadnego nazwiska, wiadomo było jednak, o kogo w gruncie rzeczy chodzi.

— ...Przeciwnik spoczywa na zachodzie za swymi fortyfikacjami... Rosja nie jest do czasu niebezpieczna. Jest osłabiona dziś przez wiele wewnętrznych przejść. Poza tym mamy umowę z Rosją. Umowy jednak tak długo są dotrzymywane, jak długo mają sens — stwierdził cynicznie i zapewne dla usprawiedliwienia dorzucił. — Bismarck myślał tak również... Możemy wystąpić przeciwko Rosji wówczas dopiero, jeśli będziemy wolni na zachodzie... Wszystko wskazuje na to, że chwila obecna jest korzystna, ale za sześć miesięcy może już tak nie być... Dziś mamy przewagę, jakiej nie mieliśmy jeszcze nigdy... Przewagę liczebną, ale także wartość wojsk jest wyższa niż kiedykolwiek.

I znów w uszy generałów wdarły się znamienne słowa:

— Jestem bardzo przygnębiony, gdy słyszę ocenę, że armia niemiecka nie jest w pełni wartościowa, że piechota w Polsce nie zdziałała tego, czego od niej należało oczekiwać, że widoczny był brak dyscypliny... Powiedziano mi, że oddziały szły naprzód wtedy tylko, gdy na czele kroczył oficer.

Wszyscy obecni wiedzieli, do kogo są zwrócone te słowa i wielu generałów wstydliwie spuściło w tym momencie oczy ku ziemi.

— Pięć milionów Niemców jest zaciągniętych do armii. Cóż znaczy więc, jeśli pojedynczy z nich zawiodą... Nie mogę znieść, kiedy się mówi, że armia nie jest w porządku. Wszystko spoczywa

w ręku dowódcy. Z żołnierzem niemieckim mogę osiągnąć wszystko, jeśli będzie on dobrze dowodzony.

Hitler podkreślił znów, że jego nieodwołalną decyzją jest rozpoczęcie ofensywy na zachodzie możliwie jak najszybciej. Ponieważ należało się, jego zdaniem, spodziewać wkroczenia wojsk angio-francuskich do Belgii i Holandii, Wehrmacht powinien był nieprzyjaciół wyprzedzić. Poza tym w grę wchodziły, jak oświadczył, nowo wynalezione miny morskie, które, zrzucane głównie z samolotów, miały zablokować wyspy brytyjskie.

— Długotrwała minowa blokada angielskich brzegów rzuci Anglię na kolana. Ale to może być osiągnięte wtedy tylko, jeśli my zajmiemy Belgię i Holandię... Naruszenie neutralności Belgii i Holandii jest bez znaczenia. Żaden człowiek o tym nie wspomni, gdy zwyciężymy. Nie będziemy uzasadniać naruszenia neutralności tak idiotycznie, jak w roku 1914.

I znów powrócił w przemówieniu ten sam, co uprzednio, motyw:

— Bez ataku wojna nie może zakończyć się zwycięstwem. Zasadniczym warunkiem zwycięstwa jest jednak to, aby dowództwo od góry dawało przykład fanatycznego zdecydowania. Gdyby dowódcy wojskowi w życiu narodów mieli zawsze tę odwagę, jaką musi mieć każdy żołnierz, nie byłoby klęsk. Jeśli jednak jak w roku 1914 wysocy dowódcy mieli już szoki nerwowe, czegóż można wymagać od zwykłego żołnierza?...

Wyliczywszy wszystkie militarne czynniki zapewniające Niemcom przewagę, Hitler powiedział z uniesieniem:

— Jako ostatni czynnik muszę wymienić moją osobę: jest niezastąpiona. Żadna osobistość, ani wojskowa, ani cywilna, nie mogłaby mnie zastąpić. Próby zamachów mogą się powtórzyć... Będę atakował, a nie kapitulował. Los Rzeszy zależy tylko ode mnie... Nikt nie uczynił tyle, ile uczyniłem ja. Poprowadziłem naród niemiecki do wielkości. Mam wybrać między zwycięstwem a zniszczeniem. Wybieram zwycięstwo. Jak długo będę żył, będę myślał tylko o zwycięstwie mego narodu. Nie ulęknę się niczego i zniszczę każdego, kto jest przeciwko mnie!... Ten tylko, kto walczy z losem, może liczyć na opatrzność. W latach ostatnich doznałem wielu przykładów opieki opatrzności. Również w obecnym rozwoju sytuacji widzę opatrzność... Na zewnątrz żadnej kapitulacji, wewnątrz żadnej rewolucji.

Hitler wspomniał więc zamach monachijski, czuwającą nad nim „opatrzność", wytyczył też drogę na najbliższą przyszłość. Pokonawszy Francję i zmusiwszy do uległości Anglię, Niemcy miały ruszyć dalej, zmieniając szlak swej ekspansji. To była jego droga zwycięstwa. Droga wojny, brutalnego deptania prawa, łamania neutralności, dławienia wolności narodów. Powiedział to jasno.

Wielu generałów, słuchając słów wodza, nawet spojrzeniem starało się nie zdradzić swych myśli; każdy z nich wiedział, co oznacza szlak, którym nakazywał im kroczyć za sobą Hitler.

Nie wyrażali żadnego protestu, choć postawę ich samych — tych, którzy uważali siebie za elitę

narodu — utożsamił z kapitulanctwem wobec przeciwnika, choć ich lżył i wynosił się nad nich tak, jak nie pozwalał sobie na to w przeszłości nikt.

Ale Hitler powiedział: „Zniszczę każdego, kto jest przeciwko mnie", uniżonymi więc ukłonami żegnali swego führera. Przybywszy zaś do swoich oddziałów, czym prędzej poczęli wcielać w życie jego dyrektywy i skoncentrowane nad zachodnimi granicami armie niemieckie nabrały natychmiast życia.

Jedno tylko generałowie mieli Hitlerowi i jego partyjnym paladynom do zarzucenia: nie podkreślili oni ich sukcesów wojennych w Polsce. Z tego też powodu generał Heinz Guderian, dowódca korpusu pancernego, opuścił Berlin wielce niezadowolony. Oczywiście, w samym Berlinie, nie ważył się o tym nikomu powiedzieć, wróciwszy jednak do Koblencji, udał się do szefa sztabu Grupy Armii „A", generała Mansteina, i wyjawił, co leżało mu na sercu.

— Należałoby jakoś wytłumaczyć führerowi, że zarzuty w stosunku do nas były zbyt ciężkie, niewiele było natomiast słów uznania za to, czego dokonaliśmy w Polsce.

— To prawda — zgodził się Manstein. — Myślę o tym samym.

— Może by więc pan, panie generale, podjął jakieś kroki w tym kierunku — rzekł Guderian. — Może by pan udał się do führera.

— Co, ja? — zawołał Manstein, zrywając się z fotela.

Guderian doszedł do wniosku, że dawno już nie widział człowieka tak przerażonego.

— Zrobiłem to, co do mnie należało — mówił szybko Manstein. — Powiedziałem o mych wrażeniach memu przełożonemu, generałowi Rundstedtowi. Ale on nie zamierza roztrząsać tej sprawy z nikim. Tak mi oświadczył. Może pan porozmawia z nim jeszcze?...

Guderian był o tyle przekonany o słuszności sprawy, że w Polsce wyróżnił się istotnie i nie miał sobie nic do wyrzucenia. Z zarzutami bierności i kapitulanctwa tym bardziej nie mógł się zgodzić, że był w duszy szczerze Hitlerowi oddany. Udał się więc do Rundstedta.

Dowódca Grupy Armii „A" wysłuchał Guderiana i chłodno stwierdził, że może ewentualnie zameldować o wypowiedzi generała dowódcy wojsk lądowych, generałowi Brauchitschowi.

— Wydaje mi się — odrzekł Guderian — że führer wysunął zarzuty przeciwko nam, ale też przede wszystkim przeciw generałowi Brauchitschowi, lepiej byłoby więc, gdyby do führera udał się ktoś inny.

— Kto mianowicie?

— Sądzę, że wizyta pana generała u führera byłaby najlepszym rozwiązaniem — zaproponował Guderian.

— No wie pan! — obruszył się Rundstedt. — Przy moich obowiązkach?...

W ciągu najbliższych dni Guderian odwiedził kilku jeszcze znamienitszych generałów z Grupy Armii „A" — Lista, Klugego, Buscha i Kleista. Żaden jednak z nich nie wyraził najmniejszej

ochoty do odwiedzenia führera i odsyłał Guderiana do kogoś innego. Kluge doradził mu, aby udał się do generała Reichenaua, dowódcy 6 Armii w Grupie Armii „B", który miał opinię zagorzałego hitlerowca.

Guderian skorzystał z tej rady. Wyjechał do Grevenbroich, gdzie mieścił się sztab 6 Armii.

Reichenau mile powitał Guderiana, a ten natychmiast przystąpił do rzeczy.

Ku zdumieniu Guderiana jednak Reichenau począł się wykręcać, jak tylko było można. Dobre stosunki z führerem, na które powoływał się gość, łączyły go kiedyś, ale ostatnio, po ostrych rzekomo z nim starciach, führer źle na niego patrzy.

— Jeśli udam się do niego właśnie ja, zepsuję sprawę — dodał. — Zgadza się pan chyba ze mną, nieprawda? Uważam jednak, że należy führera poinformować bezwzględnie o naszych nastrojach.

— Ale kto to w końcu uczyni? — zawołał zezłoszczony już Guderian.

Reichenau uśmiechnął się znacząco:

— Wiem, kto to najlepiej potrafi.

— Kto? — Guderian nadstawił uszu.

— Pan, panie generale.

— Ależ, panie generale! — Guderian nie wiedział, jak się znaleźć wobec nieoczekiwanej propozycji. — Jestem najmłodszym dowódcą korpusu, nie mogę występować przecież w imieniu starszych, to nawet nie wypada!

— Co tam nie wypada. Myślę, że jeśli pan to zrobi, będzie najlepiej.

Zrezygnowany Guderian długo bił się z myślami. Z rozmów, które przeprowadził, wynikało jasno, że jego starsi koledzy boją się Hitlera jak ognia. I on czuł przed nim lęk. Jeśli mimo to zdecydował się w końcu na raport u niego, uczynił to tylko z tego powodu, że sam Hitler w czasie pamiętnej dekoracji ośmielił go wielce w stosunku do swojej osoby.

Führer przyjął generała, pozwolił mu łaskawie na dłuższą wypowiedź. Guderian starał się wytłumaczyć oględnie wodzowi, że nieufność do generalicji, której dał wyraz w swym niedawnym wystąpieniu, nie ma pokrycia. Generałowie oddali mu, co tylko mogli, narażali nawet swe życie.

— Być może dziwi to pana, *mein führer*, że ja właśnie przychodzę z tą sprawą. Prosiłem kilku starszych generałów, aby oni podjęli ten krok, ale żaden z nich na to się nie zdecydował. Ja zaś nie chciałbym, aby pan mógł potem powiedzieć: „Oświadczyłem generałom wojsk lądowych, że nie mam do nich zaufania, a oni znieśli to cierpliwie". *Mein führer*, jeśli pan nie ma zaufania do niektórych generałów, powinien się pan z nimi rozstać.

— Chodzi o dowódcę wojsk lądowych — mruknął Hitler.

— Wobec tego niech go pan zamieni na takiego, do którego będzie pan miał zaufanie.

— A kogo pan proponuje?

Guderian począł wymieniać nazwiska: Reichenau, Rundstedt, Bock, Leeb, List, Weichs, Kluge, Witzleben... Hitler bądź rzucał jakieś negatywne słowa, bądź po prostu przeczył ruchem głowy; żadna propozycja nie przypadła mu do gustu.

Guderian nie mógł oczywiście wiedzieć, że już wówczas Hitler myślał o objęciu naczelnego dowództwa wojsk lądowych przez samego siebie.

Wyczerpawszy swą inwencję, Guderian zamilkł. Po chwili zaczął mówić Hitler, przedstawiając historię opozycji generałów wobec niego, z której wzięła się w końcu nieufność. Gdy rozpoczął zbrojenie Niemiec, przeciwstawiał mu się generał Schleicher; gdy zażądał wzmocnienia Wehrmachtu, oponowali generałowie Fritsch i Beck, uznając żądania za wygórowane; generałowie, w obawie przed Francuzami, sprzeciwiali się zajęciu Nadrenii. Były minister wojny, feldmarszałek Blomberg, usiłował kierować Wehrmachtem poza jego plecami, a generał Beck opierał się zajęciu Czechosłowacji, uważając, że wywoła to kontrakcję zbrojną państw zachodnich. W trakcie trwania wojny z Polską generał Brauchitsch chciał zwolnić tempo działań, a ostatnio obawia się wprost uderzenia na Francję.

— Jakże więc mam mieć zaufanie? Tymczasem wróg nie śpi. Anglicy spieszą się ze wzmacnianiem wojsk ekspedycyjnych, Francuzi wzmacniają swe siły. Chwila obecna jest najbardziej dogodna, powtarzam to panu. Dlaczego pan nie lęka się walki, a Brauchitsch chce z nią zwlekać? Jest to tym bardziej dziwne, że wróg przecież atakuje. Czy nie uważa pan zamachu w Monachium za atak wroga? To atak na moją osobę, na najważniejsze spoiwo narodu i armii, tak należy to rozumieć. Ale ja nie sięgam do podłych metod, skrytobójczych mordów. Ja odpowiem otwartą walką, Guderian, a opatrzność da mi zwycięstwo,

jestem tego pewien. Opatrzność uratowała mnie po to właśnie, aby dać mi zwycięstwo.

Audiencja była skończona. Jedyny generał, który odważył się na rozmowę z Hitlerem, powrócił do swych zajęć przekonany, że obowiązek swój spełnił.

Wehrmacht był gotów do napaści na Francję i jeśli nie nastąpiła ona jeszcze w roku 1939, stało się tak tylko i jedynie z powodu niepomyślnych warunków atmosferycznych. Wojska utrzymywane były przez całą zimę w pełnej gotowości bojowej. Z wiosną wzmocniły się jeszcze bardziej.

Nad granicą Belgii i Holandii stały gotowe do szturmu oddziały czołgów i piechoty. Na lotniskach czuwały samoloty. Inwazja na Danię i Norwegię w niczym nie zmieniła planów agresji.

W kwietniu 1940 roku standartenführer Schellenberg otrzymał polecenie ponownego zajęcia się akcją w Venlo. Tym razem chodziło już nie o analizę gangsterskich działań, lecz o przygotowanie materiału, który posłużyłby do opracowania przez ministerstwo spraw zagranicznych memorandum udowadniającego, że Holandia sama naruszyła swą neutralność, w związku z czym jej okupacja przez Wehrmacht jest konieczna. Hitler doszedł do wniosku, że złożenie tego rodzaju memorandum rządom Belgii i Holandii w niczym mu zaszkodzić nie może, tym bardziej że memoranda miały być złożone oczywiście już po rozpoczęciu działań zbrojnych.

Schellenberg, jak zwykle, zakrzątnął się szybko, materiał przygotował i pomógł nawet samemu ministrowi Ribbentropowi w opracowaniu not.

Oryginalny ten dokument stwierdzał, że wobec spodziewanego zagrożenia terytorium holenderskiego przez Francję i Anglię rząd niemiecki zmuszony został do zabezpieczenia neutralności Holandii. W związku z tym Niemcy użyją tak znacznych sił zbrojnych, że wszelki opór stanie się bezcelowy. Niemcy gwarantują Holandii jej terytoria europejskie i kolonialne oraz bezpieczeństwo domu panującego pod warunkiem niestawiania oporu.

Teraz do głosu doszedł Schellenberg, który opisał, jak angielscy oficerowie prowadzili działalność na terytorium holenderskim z pomocą holenderskiego sztabu generalnego, w szczególności generała von Oorschota, który Anglikami się opiekował i nawet oddał im do dyspozycji specjalnego oficera. Best i Stevens kierowali z Holandii podstępną działalnością przeciwko Rzeszy Niemieckiej, godzili w jej ustrój i czyhali na życie głowy państwa niemieckiego.

8 maja nadeszły do Berlina niepokojące wieści z Holandii. Wyglądało na to, że Holendrzy dowiedzieli się o mającym nastąpić ataku. Wojsko poczęło się koncentrować na granicy, na drogach pojawiły się barykady. Meldowano o gotowości Anglików do wylądowania na terytorium holenderskim. Holandia wszakże ich propozycje miała jakoby odrzucić. Hitler zdenerwował się, gdyż zaskoczenie stawało się w tych warunkach dość iluzoryczne. Czym prędzej przygotował więc odręczne pismo do królowej holenderskiej, w którym oświadczył o swej woli dalszego przestrzegania neutralności jej kraju, ostrzegając jednocześnie, że jakiekolwiek porozumienie wojskowe z Anglią spowoduje natychmiastową interwencję zbrojną Niemiec.

List führera doręczyć miał królowej wyższy urzędnik Kancelarii Rzeszy, major Kiwitz. Kiwitz spakował walizkę i 9 maja wsiadł do samochodu, aby udać się do Hagi.

W ostatniej dosłownie minucie wyjazd ten wstrzymano, a wydarzenie to poprzedziła gwałtowna wymiana zdań między Heydrichem, Himmlerem i Hitlerem. Heydrich i Himmler oświadczyli, że jeśli Kiwitz wyruszy do Holandii, zostanie tam z pewnością porwany przez Anglików, o czym powiadomić ich miał pewien agent niemiecki działający w Holandii. Anglikom chodziło o ujawnienie najbardziej aktualnych planów niemieckich, a Kiwitz znał je zbyt dobrze. Przy okazji wywiad angielski znalazłby w osobie Kiwitza pewne zadośćuczynienie za Besta i Stevensa. Hitler zgodził się ostatecznie z argumentami swych dwóch paladynów. List stał się już właściwie zbyteczny. Następnego dnia, 10 maja 1940 roku, samoloty niemieckie poczęły rzucać na Holandię innego rodzaju hitlerowskie przesyłki.

„Fall Gelb" wszedł wreszcie w stadium realizacji.

Generałowie Hitlera ruszyli do walki z determinacją, nadal pełni obaw o ostateczny wynik wojny z Francją. To jednak, co stało się w ciągu paru zaledwie tygodni, przeszło wyobrażenia największych optymistów spośród wielbicieli führera. Holandię i Belgię zajęto błyskawicznie, a 17 czerwca, zaledwie w pięć tygodni po rozpoczęciu dzia-

łań, rząd francuski zwrócił się do Hitlera z prośbą o zawieszenie broni. 24 czerwca, w sześć tygodni po rozpoczęciu działań, było już po wszystkim. „Największa potęga lądowa świata" została pokonana.

„Generałowie, którzy ostrzegali, że ta agresja będzie katastrofą, wyszli na durniów" — napisał o kampanii francuskiej pewien kronikarz dziejów drugiej wojny światowej. Niemiecki historyk, Helmuth Greiner stwierdził: „Niesłychanie szybki i wspaniały przebieg kampanii przeciwko mocarstwom zachodnim napełnił naród niemiecki entuzjazmem i dumą, a świat zdumieniem i trwogą... Równocześnie poderwany został autorytet starszych generałów, doradców Hitlera. Niemiecka generalicja teraz, gdy niebywały sukces ofensywy udowodnił racje Hitlera w dotychczas nie spotykanym stopniu, w większości sama była skłonna przyznać swojemu wodzowi pewien intuicyjny talent w ocenie zjawisk strategicznych".

Greiner nie dodaje już wszakże, że hitlerowska generalicja wzmocniła również wiarę w swe własne talenty i gotowa była uznać, że żadna już siła nie jest w stanie sprostać kierowanemu przez nią i führera Wehrmachtowi. Rozczarowanie przynieść miała dopiero wyprawa na Związek Radziecki.

Gdy Francja kapitulowała, sprawa zamachu w Bürgerbräukeller poszła już w zapomnienie. Z planowanego uprzednio wielkiego procesu propagandowego z udziałem Elsera, Besta i Stevensa zrezygnowano ostatecznie z początkiem roku 1940. Impreza okazywała się zupełnie zbędna, gdy sam

zamach wzmocnił nastroje wojenne w Niemczech, a jednocześnie stłumił skutecznie wszelkie objawy niechęci generalicji do führera za to, że niezbyt dobrze przygotował Niemcy do rozprawy z Francją. Te wyniki iście diabelskiej prowokacji warte były zdaniem Hitlera i jego pomocników większych nawet krwawych ofiar niż te, które spowodował wybuch bomby w monachijskiej piwiarni.

Komedia śledztwa, prowadzonego tak energicznie przez Heinricha Müllera, zakończyła się tym razem bez spodziewanego przezeń sukcesu. Georg Elser powędrował ostatecznie do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Warunki, w jakich tam przebywał, wzbudzały zastanowienie nie tylko więźniów, ale nawet władz obozowych. „Zamachowiec" korzystał ze specjalnych przywilejów, jakie przyznawano szczególnym tylko osobistościom i w wyjątkowych zupełnie przypadkach. Miał on oddzielne pomieszczenie, pozwolono mu założyć warsztat stolarski, w wolnych zaś od stolarskich zajęć chwilach grał chętnie na gitarze. Przez obozowych oprawców nie był nigdy niepokojony, przeciwnie — korzystał ze specjalnej ochrony. Pokazywano go często odwiedzającym obóz delegacjom faszystów z różnych krajów Europy i Azji jako szczególnie ciekawy eksponat, służący jednocześnie do przedstawienia, jak wielką opieką otaczany jest przez hitlerowców nawet ten zbrodniarz, który podniósł rękę na samego führera.

Los zrządził, że Elser spotkał właśnie w Sachsenhausen kapitana Payne-Besta, którego również

uwięziono w obozie, i przekazał mu przy sposobności relację o swym udziale w zamachu na Hitlera. Relację tę opublikował Best po wojnie, bowiem wraz ze Stevensem udało mu się ostatecznie wyjść szczęśliwie ze wszystkich opresji, będących następstwem sprytnych akcji Schellenberga. Elser przyznawał się do podłożenia bomby, a uczynić to miał na polecenie dwóch nie znanych mu ludzi, zapewne agentów Heydricha, którzy to polecenie przekazali mu, gdy znajdował się w Dachau.

Best i Stevens przeżyli wojnę, nie udało się to wszakże Elserowi. Ten człowiek, będący żywym świadectwem hitlerowskich intryg, nie mógł wpaść w ręce żołnierzy sojuszniczych armii, gdy zdobywały one Niemcy.

W kwietniu 1945 roku, gdy Armia Radziecka zbliżyła się do Berlina, a tym samym i do pobliskiego Sachsenhausen, na osobisty rozkaz Himmlera, który znalazł czas na ponowne zainteresowanie się skromnym więźniem, Elsera przewieziono do obozu w Dachau. „Zamachowiec" znalazł się więc w tym samym miejscu, w którym kiedyś prowadzona była jego tak wszechstronna edukacja.

Komendant obozu dostał określone instrukcje i tuż przed oswobodzeniem obozu przez armię amerykańską Georg Elser został zastrzelony. Himmler życzył sobie tego, aby tajemnica zamachu w Monachium odeszła bezpowrotnie w zaświaty.

Ale tak się nie stało.